

# ODRODZENIE

## TYGODNIK

Rok II

Kraków, dnia 27 maja 1945 r.

Nr 26

ADAM ŁYSAKOWSKI

# Zniszczenie i ochrona bibliotek polskich

Byt książki polskiej, a nawet ogólniej — książki w Polsce, uznana już opinia publiczna za sprawę doniosłą. Świadczą o tym liczne artykuły w prasie, między nimi — rozważania w „Odrodzeniu”. Od poszczególnych księgozbiory i biblioteki. Tu spotykamy notatki raczej urywkowe, czasem niecisłe czy omyłkowe, bo — jak widać — nie oparte na poznaniu faktów, dokonanych już w tej dziedzinie przez zespoły fachowców. Stąd nawet projekty urzędzeń organizacyjnych, jakie — przynajmniej po części — już istnieją. Dlatego nie będą chyba bez pożytku poniższe informacje, podane ze strony zawodowej, bibliotekarskiej.

W podręcznikach z tego zakresu mieściły się dawniej małe rozdziałki, traktujące o szkoleniu faktów, dokonanych już w tej dziedzinie przez zespoły fachowców. Stąd nawet projekty urzędzeń organizacyjnych, jakie — przynajmniej po części — już istnieją. Dlatego nie będą chyba bez pożytku poniższe informacje, podane ze strony zawodowej, bibliotekarskiej.

W podręcznikach z tego zakresu mieściły się dawniej małe rozdziałki, traktujące o szkoleniu faktów, dokonanych już w tej dziedzinie przez zespoły fachowców. Stąd nawet projekty urzędzeń organizacyjnych, jakie — przynajmniej po części — już istnieją. Dlatego nie będą chyba bez pożytku poniższe informacje, podane ze strony zawodowej, bibliotekarskiej.

W podręcznikach z tego zakresu mieściły się dawniej małe rozdziałki, traktujące o szkoleniu faktów, dokonanych już w tej dziedzinie przez zespoły fachowców. Stąd nawet projekty urzędzeń organizacyjnych, jakie — przynajmniej po części — już istnieją. Dlatego nie będą chyba bez pożytku poniższe informacje, podane ze strony zawodowej, bibliotekarskiej.

Zniszczenia wojenne bibliotek w Polsce przybierały formę najrozmaitszą. Czasem obejmowały tylko część księgozbioru, kiedy indziej ogarniały za jednym zamachem całość księżnicy. W jednym miejscu skrupało się na samych książkach, w innym — akcja okupanta naruszała organizację bibliotek: bądź to usuwano wykwalifikowanych pracowników, zastępując ich — z niewątpliwą szkodą dla instytucji — personelem nieprzygotowanym fachowo, ale własnym; bądź przepadały gdzieś inwentarze i katalogi biblioteczne; bądź też wypaczano lokalne metody pracy bibliotekarskiej, lub przerabiano polskie katalogi na obcy język. Tu trzeba teraz odrobić, z wielkim nakładem czasu i wysiłku. Rzadko wynikały „przypadkowe” zniszczenia bibliotek z ogólnych działań wojennych; przeważnie dopuszczano się ich świadomie i rozmyślnie. Tylko niektóre straty dadzą się jeszcze naprawić drogą rewindykacji lub zyskania ekwiwalentu; w innych przypadkach są one ostateczne.

Gdy ubytek książek ograniczał się do części zbioru bibliotecznego, najłagodniejszym przypadkiem było **przeniesienie** druków (może w celach komasacyjnych) do innej biblioteki. Ale bezwzględne straty sprawiała już cenzura polityczna. Najczęściej zwracało się oko okupanta ku partiom najcenniejszym, które **wywożono** do Niemiec. Gdzie indziej **rozgrabiano** części księgozbioru: bądź to dygnitarze okupacyjni przywłaszczali sobie prywatnie interesujące ich czy też handlowo wartościowe dzieła; bądź też — gdy w Warszawie po powstaniu stały biblioteki bez opieki lub co gorsza, gdy wojsko w nich kwaterowało — wchodził między półki żołnierz niemiecki i zabierał książkę, którą chciał. Te druki kradzione przedostawały się nieraz później na rynek antykwarski; ale miejmy nadzieję, że wyraźny znak pieczęci bibliotecznej skieruje je z powrotem do instytucji macierzystej.

Jeśli akcja niszczeniowska ogarniała całość biblioteki — mniejsze niebezpieczeństwo przedstawiała likwidacja instytucji i **przemieszczenie** pełnego księgozbioru do innej, większej biblioteki; takiemu losowi ulegały z reguły książnice zakładów i seminarium uniwersyteckich, które (po przełamaniu oporu polskich bibliotekarzy) włączano do inwentarza głównej biblioteki uniwersyteckiej danego miasta; choć wycofywano przy tym dublety — można jeszcze zawsze zrekonstruować poprzedni stan tych całości. Odtworzenie będzie już znacznie trudniejsze przy **rozparcelowaniu** i podziale

księgozbioru pomiędzy kilka innych instytucyj. Trudność rewindykacji jeszcze bardziej wzrasta, jeśli bibliotekę **wywieziono** z Polski na teren obcy (np. bibliotekę plocką do Królewca). Rekonstrukcja staje się zaś niemożliwością, gdy chodzi o małe biblioteki naukowe, powszechnie i szkolne, które albo wywieziono w nieznane miejsca, albo **rozproszono** bezładnie i nikt się ich resztek nie doszuka. Los taki spotkał od razu na początku okupacji wszystkie prowincjonalne księgozbiory wojakowe. Trafiły się dalej niestety fakty **rozgrabiania** księżnic dworskich przez ludność okoliczną. A okupant stosował nadto **przebranie** książek, przeważnie wobec bibliotek żydowskich oraz nakładów znalezionych w centralach wydawniczych i księgarniach. A wreszcie — **pożar**. Od bomb lotniczych spłonęły w Warszawie we wrześniu 1939 r. Centralna Biblioteka Wojskowa, Biblioteka Prześdzieckich, część Biblioteki Zamojskich, Biblioteka Wolnej Wszechnicy Polskiej i inne. Bomby zniszczyły w sierpniu — wrześniu 1944 w Warszawie część Biblioteki Krasieńskich, pogrzebały **pod gruzami** domów wiele zbiorów prywatnych. Tego było jeszcze mało. Bo oto w tymże roku naród niemiecki, którego ogół stracił już był wówczas swą kulturę, a wykazywał tylko resztki cywilizacji, potrafił wymyśleć zabieg w zbrodniczości swej nieoczekiwany i nie mający nic wspólnego z działaniami wojennymi: **umyślne podpalenie i wypalenie** bibliotek. Tą „metodą” zlikwidowano w Warszawie w czasie powstania Bibliotekę Krasieńskich z nagromadzonymi tam bezcennymi rękopisami Żałuchich z Biblioteki Narodowej, starymi drukami, kartografią, zbiorem muzyczno-teatralnym itd.; dalej Bibliotekę Zamojskich, z której uratowało się tylko 85 skrzyń, z obiektami szczęśliwie najcenniejszymi; Bibliotekę Politechniki i inne pomniejsze księżnice. A nawet 16 stycznia 1945 na wieść o ofensywie Armii Czerwonej zdążyli jeszcze Niemcy spalić księgozbiór Biblioteki Publicznej w Warszawie. Ten sam system zastosowali w Poznaniu, niszcząc ogniem Bibliotekę Raczynskich. Zapewne tylko moment zaskoczenia wojennego przeszkodził im w puszczaniu z dymem innych bibliotek w tych i w innych miastach i dzięki temu ocalała od ognia w Warszawie Biblioteka Narodowa (druki nowsze) i B-ka Uniwersytecka, w Poznaniu B-ka Uniwersytecka, oraz biblioteki w Łodzi, Bydgoszczy, Toruniu, Kórniku, Katowicach itd.

Oto inżynierstwo książki polskiej w latach 1939—1945 w poszczególnych odmianach. Ogólny rozmiar strat w stosunku do stanu przedwojennego obliczają jedni na 95%, inni na 80%, lecz są to szacowania intuicyjne, a więc nie ścisłe. Dokładnymi liczbami nie rozporządzamy jeszcze dzisiaj, nie tylko dlatego, że nie wszędzie w terenie policzono już straty i że wiadomości o nich nie wpłynęły jeszcze do centrali, ale także z tego względu, iż nie wiemy, co z materiałów wywiezionych uda się odzyskać, a co należy uważać za przepadłe. Gdy jednak **liczba** straconych tomów będzie nawet najściślej ustalona, nie da to jeszcze plastycznego obrazu zniszczeń. Prócz ilości — trzeba mieć **jakość** zbiorów na uwadze. Zabytki niepowtarzalne i niepowielane, rękopisy, unikaty, kartografia, grafika, rzadkie cymelia, wydawnictwa szczególnie cenne — wykraczają swą wartością poza suchy rachunek tomów. Takie materiały zwykło się bowiem nie obliczać, lecz — wycłacać.

W miesiącach letnich 1939 r., kiedy już wojna wisiała w powietrzu, polskie koła bibliotekarskie przygotowywały profilaktyczną ochronę zbiorów. Selekcjonowano cenniejszy materiał, zaopatrywano się w skrzynie, obmyślano miejsca schronu dla wybranych obiektów. Przy końcu sierpnia 1939 wzięła już w bibliotekach robota ładowania skrzyń i ich chronienia, bądź w głębokich piwnicach, bądź w starych fortach itp. Był to pierwszy etap zabezpieczania bibliotek. Drugi sposób ochrony, stosowany w momencie wejścia okupanta — lecz tylko w mniejszych bibliotekach, np. stowarzyszeniowych, stanowiło ukrywanie książek przez rozmieszczenie ich u poszczególnych członków danego zespołu. O ile tu nie trafiła się jakaś katastrofa — można zbiór taki złożyć teraz z powrotem. W dalszych latach okupacji posiadały względnie możliwość ratowania książek wielkie biblioteki, o ile zachowały polskie kierownictwo, które ściągało do swego gmachu, pod swą opiekę księgozbiory instytucji likwidowanych

i osób uwięzionych lub rozstrzelanych, obok skonfiskowanych nakładów różnych wydawnictw.

Gdy z początkiem roku 1944 zbliżył się front wschodni do granic Polski, poczuł się niemiecki kierownik bibliotek w „Generalnej Gubernii” o pamiętnym dla nas nazwisku (Gustaw Abb) do obowiązku chronienia bibliotek. Ta „ochrona” polegała na **wywożeniu do Niemiec**. W pierwszym rządzie zależało mu na wycofaniu dzieł niemieckich, zakupionych do bibliotek polskich w latach 1940—1943. Następnie zajął się zbiorami podręcznymi, rękopiśmiennymi i inkuhabuami. Wobec wywozu pierwszej grupy książek zachowywali się polscy bibliotekarze raczej obojętnie, wobec drugiej grupy — negatywnie, tzn. starali się wypełnić skrzynie materiałem drugorzędnej wartości, aby obiekty najcenniejsze **zatrzymać w kraju**. Było przecież wskazane nie narażać ich na możliwe uszkodzenia podczas jazdy czy na niedostateczny nadzór w niemieckich miejscach przechowania, do których polscy fachowcy — pomimo wyraźnego żądania — nie mogli uzyskać dostępu. Wywieziono pewne partie ze Lwowa, Lublina, Krakowa i Łodzi. W Warszawie kierownictwo polskie przeciągało sprawę transportu — aż do momentu ucieczki cywilnych władz niemieckich (lipiec 1944).

Przyszły potem dwa ciężkie miesiące powstania. Choć ochronę wielkich bibliotek warszawskich pełnili na miejscu — póki się dało — nasi bibliotekarze, nie mogli przeszkodzić temu, że w połowie września oficer SS zagrabił z Biblioteki Narodowej 23 skrzynie zbiorów wilanowskich, z B-ki Uniw. stare druki oraz pewne zbiory z B-ki Krasieńskich i wywiózł je w nieznanym kierunku (prawdopodobnie wraz z Archiwum Radziwiłłowskim do Bruck w Austrii). Jeden z punktów warszawskiej umowy kapitulacyjnej postanawiał **ewakuację zabytków kulturalnych** ze spalonego miasta. Na tej podstawie zorganizowała się archiwalno biblioteczno-muzealna komisja polska dla uratowania ocalonych wtedy zbiorów przed niebezpieczeństwem późniejszego ich podpalenia czy wysadzenia w powietrze. Ale przepustkę na wjazd do miasta trzeba było uzyskać od Niemców, a ci — oczywiście — także chcieli ewakuować mienie kulturalne, ale jako „swoje”, i pod warunkiem, że tylko do Rzeszy (jedynie archiwa udało się przewieźć do Częstochowy). Gdy niemieccy podpalali zniszczyli ogniem z początku listopada 1944 gmach Szkoły Głównej Handlowej, mieszczącej Archiwum Akt Nowych (w najbliższym sąsiedztwie B-ki Narodowej), musiała się zgodzić strona polska na ten kierunek transportu.

Sytuacja wytworzyła się bowiem przymusowa i zawiła paradoksalna. Celem ochrony polskich bibliotek przed grabieżą i pożarem niemieckim usuwano je z Warszawy do Niemiec przy współdziałaniu Niemców, którzy dostarczali środków komunikacyjnych. Widziało się od razu i jasno, że jedynym ratunkiem byłoby szybkie opanowanie Warszawy przez Armię Czerwoną. Ale to nastąpiło w połowie stycznia 1945, a więc po 2½ miesiące akcji ewakuacyjnej, pełnej sporów z niemieckim przedswawicielem co do kryteriów cenności i wyboru zbiorów przeznaczonych do wywiezienia, polskie troski kulturalne nie pokrywały się oczywiście z ich punktem widzenia. W rezultacie wysłano z Warszawy 11 wagonów książek z Bibliotek Narodowej, Uniwersyteckiej i Publicznej, częściowo do Görbitsch koło Reppen w okolicy Frankfurtu nad Odrą, częściowo do Adelsdorfu koło Goldberg w okolicy Lignicy, dokąd już wcześniej wpłynęły zbiory krakowskie. Ostatnią partię druków zdeponowano w Pruszkowie (skąd już powróciły do Warszawy). Poza akcją oficjalną uratowano bez wiedzy Niemców i umieszczono w kraju szereg najwartościowszych bibliotek i rękopisów prywatnych.

Dopiero po oswobodzeniu kraju i dotarciu zwycięskiej ofensywy do Odry i Nisy — podjęto programowe zabezpieczanie zbiorów w skali ogólnopolskiej, z rozróżnieniem dwu stref terytorialnych: obszar Rzeczypospolitej Polskiej z r. 1939 oraz powracające do nas ziemie zachodnie. Na terenie Polski przedwojennej zorganizowano tymczasowo okręgi biblioteczne wokół kilku największych bibliotek, które przetrwały w swoich gmachach i choć z częścią swych pracowników, wobec czego były zdolne podjąć pierwszą akcję. Są to Biblioteki Narodowa, Uniwersytecka i Publiczna w Warszawie, B-ka Miejska w Łodzi.

jedna z lubelskich, B-ka Jagiellońska w Krakowie, Śląska B-ka Publiczna w Katowicach i B-ka Uniwersytecka w Poznaniu. Okręg biblioteczny to albo część m. st. Warszawy albo województwo lub nawet parę województw (np. B-ka Jagiellońska obejmuje wojew. krakowskie, kieleckie i rzeszowskie). Założeniem pracy tych **kierowniczych** bibliotek jest skupienie wiadomości o wszelkich zbiorach bibliotecznych istniejących obecnie, połączone z rejestracją bibliotecznych strat wojennych, na tej podstawie zaś kształtują się następujące zadania: uchronienie bezpańskich, pozostawionych bez opieki lub przejętych przez państwo (dworskich) zbiorów bibliotecznych przed możliwymi dalszymi stratami; więc zabezpieczenie ich bądź to na miejscu, bądź też zwózką zbiorów nawet z odległej prowincji do gmachu biblioteki okręgowej. Następnie — zbieranie poszczególnych książek rozproszonych, zwłaszcza opatrzonych pieczęciami bibliotek publicznych, — zewsząd, nawet z antykwariatów, jeśli tam niewłaściwie zawędrowały. Dalej — ochrona, a więc gromadzenie wydawnictw wojennych wszelkiego typu, zwłaszcza publikacji konspiracyjnych, zwartych i periodycznych, druków i fotokopii, utworów przepisywanych na maszynie czy odręcznie, ulotek, plakatów i wycinków (w tym zakresie mogą prywatni zbieracze takich dokumentów wojennych pięknie dopomóc bibliotekom publicznym).

Wymienione działania biblioteczne są już na terenie Polski w pełnym toku. Uwieńczeniem ich będzie tymczasowa inwentaryzacja zgromadzonego materiału oraz jego segregacja według przydatności książek dla różnych typów bibliotek, co wchodzi już w zakres odbudowy bibliotek.

Programową akcją zabezpieczania bibliotek kieruje **Wydział Bibliotek w Ministerstwie Oświaty**, jemu bowiem (a nie Ministrowi Kultury i Sztuki) podlega ogół bibliotek szkolnych, powszechnych i naukowych. Oprócz wyszczególnionych bibliotek kierowniczych, docierających na prowincję przez delegowanych bibliotekarzy, powołane są do współpracy w obrębie Ministerstwa zarządy bibliotek przy Kuratoriach Okręg. Szk., inspektoraty szkolne i wiejskie nauczycielstwo. Ale również inne resorty zajęły się samorzutnie ochroną i gro-nadzeniem księgozbiorów, jako to Ministerstwo Informacji i Propagandy tworzące biblioteki świetlicowe, Ministerstwo Kultury i Sztuki przez swoich referentów przy starostwach, Min. Rolnictwa i Reform Rolnych przejmujące wraz z ziemią mnogość księgozbiorów dworskich. Zapewne dojdzie do centralnego uzgodnienia przez Radę Ministrów działań tych różnych czynników, tak jak gdzieś niedługo na prowincji zespolono rozstrzelone zrazu wysiłki w „Wojewódzkich Komisjach Ochrony Mienia Kulturalnego”.

Inaczej wygląda zabezpieczanie bibliotek **na ziemiach ponemieckich**, przyłączonych do Polski oraz innych. Tam chodzi przede wszystkim o ochronę zbiorów wywiezionych z Polski w czasie wojny. Pierwszej pomocy zabezpieczenia udzieliły władze wojskowe, a Ministerstwo Oświaty operuje delegacjami bibliotekarzy, którzy mają przewieźć zbiory z powrotem do macierzystych bibliotek. Zadanie to — poza warunkami komunikacji — o tyle nieraz trudne, że nie są znane wszystkie miejscowości, do których Niemcy wywieźli nasze książki; trzeba ich dopiero poszukiwać, może w Austrii lub nawet aż w Berlinie.

Na drugim planie podlegają **opiece** naszej księgozbiory zorganizowane w **polskich obozach jeńców**. Następnie przejęcia i zabezpieczenia wymaga ogół **bibliotek ponemieckich** na przyznanych Polsce terenach zachodnich, zanim będzie postanowiony dalszy los tych zbiorów na podstawie nowego planu organizacji bibliotecznej. W tym zakresie działają także delegacje bibliotekarzy, docierające do odzyskanych ziem wraz z innymi władzami cywilnymi. Wreszcie musimy zawczasu zatroszczyć się o to, by zarezerwowano i zabezpieczono dla Polski te obiekty, fragmenty i zespoły biblioteczne w dalszych okolicach Niemiec, do których zgłaszamy wnioski rewindykacyjne z racji ich polskiego pochodzenia oraz wnioski przekazania nam ich jaki ekwiwalentu za straty wojenne.

To są najdalej wysunięte zadania wielkiego programu w dziale **zabezpieczania** bibliotek. Ocalałe i odzyskane zbiory staną się podstawą następnego wielkiego czynu: **odbudowy bibliotek polskich**.

WŁODZIMIERZ MICHAJŁOW

# O planowość badań naukowych

Obraz nauki polskiej jest niemal rozpaczliwy, dający się streścić w jednym słowie — dewastacja.

Cóż innego mogło pozostawić po sobie wieloletnie, planowo, konsekwentnie, naukowo niemal przeprowadzane przez Niemców niszczenie, wywożenie i rozbijanie zakładów i instytutów badawczych. Likwidowano przecie nie tylko sprzęt naukowy, pracownie, laboratoria, biblioteki, lecz również żywe motory tych precyzyjnych instrumentów wiedzy — uczonych, badaczy, pracowników naukowych.

Nauka polska w wyniku tej wojny została cofnięta wstecz o lata, w niektórych dziedzinach o dziesiątki lat.

Przez dłuższy czas jeszcze będziemy widzieli ocalałe, lecz opuszczone warsztaty pracy, których nikt na razie nie potrafi celowo uruchomić po stracie niezastąpionych ich twórców. I odwrotnie, będziemy stale spotykali badaczy, nie mogących zająć się twórczą pracą w swej dziedzinie z braku odpowiednich urządzeń.

Długo jeszcze będziemy robili listę strat, stając co chwila przed nową luką, nową pustką, skwapliwie zapisując na rachunek zysku to, co się zdołało uratować.

Jednocześnie musimy jednak zacząć budować.

Czy więc nie warto już teraz, w trakcie odtworzenia ocalałych fragmentów badawczej nauki polskiej, pomyśleć o całości, jaka z nich ma powstać, ustalić pewne wytyczne, stworzyć racjonalne ramy dla procesu regeneracji życia naukowego?

Jedyną może, aczkolwiek z tragicznych przesłanek wypływającą, korzystną stroną dzisiejszego stanu badawczej nauki polskiej jest to, że tworząc prawie od nowa, z niczego niemal, możemy gruntownie przemyśleć przyszły obraz całości — możemy planować.

Silną rzeczą pierwszymi problemami jakie się nasuwają, są problemy organizacji. Zagadnienia strukturalnych i organizacyjnych samego życia narzuci bardzo dużo — że wymienię tylko sprawę struktury wyższych uczelni, problem stosunku organizacyjnego naukowych zakładów badawczych do zakładów o charakterze ściśle pedagogicznym, sprawę wzajemnej zależności i koordynacji zakładów naukowych różnego typu.

Już teraz w różnych dziedzinach życia zbiorowego ujawniają się tendencje ścisłego odtworzenia stanu przedwojennego, branego jako kryterium optymalne, jako kanon. Z pietyzmem wygrzebuje się stare sztylki, tworzy się nazwy puste i to tylko dlatego, że „tak było przed wojną”. Myśl reformatorska, za słaba może jeszcze i w wirusku zdarzeń onieśmielona, cofa się nieraz przed pobożnym patosem szermierzy dzieła odbudowy. Tak być nie powinno. Reforma polityczna i gospodarcza — to jeszcze nie wszystko. Chwila jest stosowna, by przewietrzyć wszystkie zatechłe zakamarki życia zbiorowego, wyraźnie wyodrębnić szkodliwe obciążenia dziedziczne od zdrowych i żywotnych tradycji. Trzeba pozyskać dla idei reformy ludzi nowych, zjednać działaczy starych. Niech przypadek nie decyduje o działaniu. Czy mamy w ramach powstających uczelni konieczność odbudować np. katedrę sinologii jedynie dlatego, że z chaosu wojny przypadkowo wyratuje się jakiś wybitny znawca tej, skądinąd ważnej gałęzi wiedzy, czy też zakładać mamy bardziej aktualne warsztaty pracy?

Niech się nie zdaje, że odbudowa stanu dawnego, to najoszczędniejszy sposób działania. Prawdziwa oszczędność kryje się w planowaniu, w działaniu systematycznie zamierzonym.

Czy możemy twierdzić, że w Polsce przedwojennej stan prac naukowo badawczych był tak doskonały, iż starczył może za wzór? Sądzę, że mało ludzi odpowie na to pytanie twierdząco. Nauka polska ma poza sobą poważne, świetne nieraz osiągnięcia. Były to jednak głównie wyczyny twórczych jednostek, a z punktu widzenia społecznego cechowała je przypadkowość. Zresztą, pocieszymy się, że tak było nie tylko w Polsce, podobnie działo się we Francji i innych krajach o starej kulturze. Dla rozwiania wszelkich wątpliwości spójrzmy jednak wstecz.

W Polsce przedwojennej warsztaty pracy naukowo-badawczej skupiały się głównie przy katedrach i zakładach wyższych uczelni. Aczkolwiek istniały niezależnie od uniwersytetów specjalne instytuty badawcze, stacje doświadczalne i laboratoria skupiające pracowników naukowych, chociaż mieliśmy nawet laboratoria badawcze prywatne, to jednak główny trzon poczynił badawczych tworzyły w Polsce uniwersytety. Każda katedra w zależności od osobowości jej kierownika była w mniejszym lub większym stopniu ośrodkiem myśli naukowej o pewnym zasięgu, jeśli przy tym związana była z zakładem lub pracownią przez profesora kierowaną. Była najczęściej również warsztatem pracy naukowo-twórczej, nie tylko kształcącej. Dokoła katedry skupiała się grono pracowników naukowych dobranych według upodobań intelektualnych. O kierunku badań zarówno całego zespołu, jak i poszczególnych pracowników decydowała indywidualność pro-

fesora, która wywierała potężny wpływ na funkcjonowanie tej całości. Obowiązkowo prowadzenia prac badawczych jednak nie było. Profesor wyższej uczelni mógł być tylko pedagogiem-wykładowcą i nikt nie miał formalnego prawa czynienia mu z tego tytułu zarzutów. Mógł wymagać od swych asystentów postawy identycznej, a od studentów jedynie wykonania prac dyplomowych, niezbędnych do osiągnięcia stopnia naukowego, które jakże często nie stanowiły istotnego wkładu w skarbnicę wiedzy i były pierwszą i ostatnią pracą tego rodzaju wykonaną przez kandydata. Obok katedr i zakładów tego typu istniały inne, w znacznej mierze nastawione właśnie na pracę twórczą, badawczą, prowadzoną nieraz z krzywdą dla sprawy kształcenia fachowców. Tkwił w tym błąd organizacyjny, błąd przypadkowości. Podobnie jak wśród profesorów spotykało się te dwa główne typy nauczyciela-wykładowcy i badacza, studiujących można sklasyfikować według tegoż kryterium.

Dla jednych wyższa uczelnia była bramą prowadzącą do wykonywania zawodu, szkołą wyższą w dosłownym znaczeniu, dla drugich — miejscem badań naukowych, którym mieli zamiar się poświęcić. Wśród tych drugich — przyszłych uczonych, byli ludzie o zdecydowanych zainteresowaniach, którzy tak długo szukali upragnionego warsztatu pracy w labiryncie uniwersyteckich zakładów, aż wreszcie osiadali przy odpowiedniej katedrze w charakterze asystentów lub docentów. Inny typ stanowili uczeni bez ściśle sprecyzowanych zamierzeń badawczych; o kierunku ich pracy decydowały częstokroć czynniki uboczne, jak nastawienie obranego przez nich zakładu, jego możliwości techniczne lub możliwość publikacji w pismach specjalnych. Było to najczęściej pójście po linii najmniejszego oporu, stąd rodziło się słynne przyzwykłość i mnożenie prac naukowych na martwe tematy.

W obliczu potwornych zniszczeń wartości kulturalnych, zmuszeni do oszczędnego gospodarowania siłami naukowymi i warsztatami pracy badawczej, powinniśmy rozstrzelone i przypadkowo skierowane wysiłki naukowe zorganizować i zespolić. Stąd wynika potrzeba stworzenia specjalnej, ogólnopństwowej instytucji opiniodawczej i kierowniczej. Instytucja, która by formułowała zagadnienia naukowe, oceniała ich wagę i planowała sposób ich rozwiązania, miałaby charakter Głównego Instytutu Badań Naukowych, swoistej centrali planowania prac badawczych w skali ogólnopństwowej. Udział w tej instytucji powinni wziąć wybitni specjaliści z każdej dziedziny wiedzy, jak również — w charakterze opiniodawców w niektórych sprawach — zainteresowane czynniki państwowe, społeczne i gospodarcze. Inicjatywa wnioskodawcza powinna iść z dwóch stron: ze strony konsumentów wiedzy, a więc państwa i organizacji społecznych w postaci precyzowania tych zagadnień i spraw życia zbiorowego, które wymagają interwencji badacza i uczonego, z drugiej zaś — wnioski oparte o głęboką znajomość swej dziedziny i jej palących, aktualnych problemów, których rozwiązanie przekracza siły jednostki choćby najzdolniejszej i najlepiej wyposażonej, powinny wypływać ze strony uczonych — wytwórców nauki. Instytucja rozstrzygająca — nazwijmy ją Naczelną Radą Naukową — powinna decydować o aktualności danego zagadnienia i potwierdzać jego opracowanie odpowiednim zakładom badawczym. Każde zamierzenie badawcze, rozpatrywane przez tę instytucję, powinno być badane pod kątem widzenia jego celowości i możliwości realizacji.

W kwestii celowości:

Z ogólnego punktu widzenia każde badanie naukowe jest celowe, ponieważ powiększa sumę naszej wiedzy, która z kolei wcześniej czy później zaczyna oddziaływać na życie społeczne. Ze chwilowo wyniki niektórych badań naukowych mogą nie mieć zastosowania praktycznego lub nie mieścić się w ramach jakiegoś uogólnienia i systemu, do którego stworzenia przecie każda gałąź wiedzy dąży, to jeszcze nie dowód ich bezcelowości. Dzieje myśli badawczej są pełne przykładów odkryć niezamierzonych oraz niespodziewanych zastosowań praktycznych. Z tego punktu widzenia każda nauka jest co najmniej potencjalnie nauką „stosowaną” w szerokim znaczeniu tego słowa. Pojęcie celowości dostosowane do naszych obecnych warunków należy jednak sprecyzować ściślej. Celowym, w doraźnym znaczeniu, będzie takie badanie naukowe, którego pomyślnie wykonanie daje się szybko i z korzyścią zastosować w życiu społecznym lub gospodarczym, bądź też takie badanie problemów teoretycznych nastrożonych przez obecny stan wiedzy, które niejako wiszą w powietrzu i domagają się rozstrzygnięcia w imię dalszego rozwoju nauki.

Tak wyglądałaby ta strona prac projektowanej instytucji, która miałaby charakter inicjatorsko-opiniodawczy. Gdyby na tym się kończyła jej działalność, instytucja taka stałaby się wkrótce martwą akademią. Powinna

ona mieć wpływ na wykonanie prac badawczych, powinna mieć egzekutywę. Jakie będzie miała ku temu środki? Muszą to być możliwości wielorakie: 1. ściśle sformułowanie istoty problemu naukowego zawiera częstokroć w zarodku gotowe jego rozwiązanie, o czym każdy pracownik naukowy miał zapewne niejednokrotnie możność się przekonać. 2. Sformułowanie takie i ewentualne jego opublikowanie przyciągnie uwagę badaczy pracujących w danej dziedzinie, zorganizuje i skoordynuje ich wysiłki. 3. Do dyspozycji wykonawców projektów będą oddane możliwości techniczne. Mając plan sieci instytucji badawczych Rada Naukowa będzie mogła rozstrzygnąć, jaki zakład najlepiej się nadaje do wykonania danej pracy i uczyni to trafniej niż jednostka kierownicza, zrosnięta z określoną instytucją naukową, skrepowana w swej działalności jej aparatem wykonawczym i obarczona nieuniknionym patriotyzmem lokalnym. Jeśli się okaże, że odpowiedniego zakładu brak, do rozwiązania zagadnień szczególnej wagi może być

ZOFIA NALKOWSKA

## WĘZŁY ŻYCIA\*

— Bo nie lubię widzieć was razem, — powiedziała.

— Ale o co ci chodzi? — miękko z ciemności spytał Wysokolski.

Odrzuciła głowę ku niemu. Tylko papieros jarzącym rąbkim światła rysował jego suchy nos i część policzka. Tak po ciemku oboje mogli jeszcze uchodzić za młodych. Metalowym kantem objęty daszek czapki, przesłaniający mu wierzch twarzy, nagle przywiodł na pamięć Agacie wojskowy charakter ich drugiej, „niepodległej” miłości. Przewionęły z tamtej epoki młode ułańskie profile, pochylone nad nagimi karkami koni, wyciągniętych w przyziemnym galopie, zielone tło skoków na parkurze... Musiała go przecie pokochać na inny zupełnie sposób, odkąd brząkał szabłą i cicho podzwaniał zbędnymi ostrogami. Ostupiała od nadmiaru tej egzotyki, która wtargnęła nagle w obręb ich życia, nie mogła się po prostu dość nadziwić.

Nie odpowiedziała, o co jej chodzi. Wyznała tylko, że nie lubi Aramowicza. Wysokolski spokojnie zauważył, że do niczego nie jest potrzebne, by go lubiła.

Na to musiała przystać.

— Owszem, — powiedziała z wahaniem. — Ale mnie chodzi nie o niego, tylko o ciebie.

Tego znów Wysokolski nie zrozumiał.

— O ciebie. Bo tobie się zdawało, żeś go naprawdę zjednał dla tych spraw, myślałaś, że się zmienił pod twoim wpływem.

— Tak rzeczywiście myślałam.

— A on...

Agata znów się zawahała.

— Powiesz na pewno, że się mylę, że jestem uprzedzona, ja wiem. Nigdy mi nie wierzysz. Ale przecie to było jasne. On pierwszy z nich wiedział, że dojdziecie do władzy, on po prostu na was „stawiał”.

Wysokolski milczał chwilę w swoich ciemnościach. Wreszcie odezwał się lekceważąco:

— A choćby nawet, to cóż...

— Bo jeszcze dziś zwracasz się do niego z zaufaniem, jeszcze dziś na nim ci zależy...

Wysokolski poprzestał na wypowiedzeniu paru zgryźliwych uwag natury ogólnej. Zresztą cała droga przez jasne, uśpione miasto i — świetliste góry, dołem ciemne od parków — Aleje Ujazdowskie, trwała zaledwie parę minut. Przemknęli obok stojącego w drzewach pod gwiazdami, cichego, jak sarkofag, Belwederu i nagle, niby na lądującym samolocie, lekko spłynęli w ciemność Niskiego Mokotowa.

W przedpokoju zdjął z niej futro i najstarszeniej sam zawiesił na ramiączkach w ciennej szafie. Był zdziwiony, gdy odezwała się łaskawie:

— Nie bardzo miałam chęć dziś się wybrać, a widział, jestem zadowolona.

Musiał to uznać za niezwykły z jej strony dowód dobrej woli, gotów był nawet dopatrywać się w tym skruchy. Weszli do pustego domu. Sonka od trzech już miesięcy mieszkała u Tekli. Pokręcili się po nim jeszcze trochę. W jadalni Agata wycisnęła sok z dwóch pomarańczy i namawiła męża, by to wypił przed snem zamiast wina, które sobie, dobywał z własnej przegródki kredensu. Jednak nie przychylił się do tego jej życzenia. Siedział przy stole, ukrytym ciemną makatą, haftowaną w złote ptaki i wlewał do dwóch kieliszków gęste wino czerwone. Było cicho i ciepło, nisko nad stołem paliła się jedna przyćmiona lampa. W wielkich oknach stały bez ruchu olbrzymie konary starych drzew Łazienkowskiego parku, który w tym miejscu wyglądał ze swymi polanami i zamazanymi taflami stojących

utworzona specjalna placówka i środkami na to powinna Rada Naukowa dysponować. 4. Powinna ona również dysponować środkami materialnymi dla popierania badań uznanych przez nią za ważne, drogą subwencji i stypendiów rozdzielanych planowo w związku z ogółem prac naukowych w państwie. przyznawanych zarówno jednostkom jak i instytucjom. 5. Do dyspozycji Rady powinien być oddany wszechstronny aparat publikacyjny. Dotychczasowy system polegający na tym, że powstanie i istnienie czasopism specjalnych zależało od rozmaitych czynników ubocznych, nie może być uznany za właściwy. 6. Poprzez Radę powinny się wytworzyć kontakty z uczonymi pracującymi w danej dziedzinie, zarówno na terenie państwa, jak i w ramach międzynarodowej wymiany myśli (zjazdy, konferencje).

W ten sposób sprawa badań naukowych wyjdzie poza mury uniwersytetów i akademii i bez obniżenia powagi problemów, bez naruszenia praw jednostek twórczych, stanie się sprawą ogółu i zagadnieniem państwowym zarazem.

Powyższe uwagi stanowią szkic z natury rzeczy całkiem ogólnikowy, materiał raczej do przemyslenia i dyskusji, oparty na głębokim przekonaniu o słuszności sprawy. Dyskusja ta — chodzi przede wszystkim o głosy autorytetów w dziedzinie wiedzy — powinna zagadnienie pchnąć na właściwe tory.

wód, jak daleka od świata, zapomniana puszcza.

Agata powiedziała ostrożnie, że musi jutro wstać wcześniej, ma bowiem w bibliotece znowu jakieś zastępstwo. Wysokolski pił powoli, patrząc w ciemną ciecz, na załamaniach kryształu krwawiącą się przeźroczystość pod światło.

— Wiesz, Agato, — rzekł z uśmiechem — wygląda, jakby ci zupełnie wyszło z głowy, że jesteś moją żoną.

Nie podjęła tego wyzwania. Gdy przechodziła obok jego krzesła, przytrzymał ją za rękę i pociągnął ku sobie, tak, że na chwilę przysiadła na jego kolanach. Ujął dłonią kieliszek i podał jej, by z nim piła. Gdy jednak — wypiszy trochę — zapragnęła wstać, od razu ją puścił, zmieszany i zasmucony.

Rozstali się nieznacznie, bez pożegnania, bez ostatniego słowa. Odejście do swych osobnych pokojów tych dwojga ludzi, już obcych sobie, starego mężczyzny i starej kobiety, jeszcze raz wydało im się groteskowe.

Z gabinetu Wysokolskiego długo słyszała Agata kaszel. Nie znaczyło to, że jest przeziębiony, — kaszał stale, gdyż dużo pali, — ale że nie może zasnąć.

Szło mu jeszcze wciąż o Aramowicza. Od razu oczywiście tam w samochodzie zrozumiał pretensje Agaty. Pamiętał różne z nią dawne rozmowy na ten temat. Kto wie, może istotnie ona lepiej wówczas pojąła się w charakterze tego człowieka. Zawsze była bardziej niechętna ludziom, niż on, mniej dowierzająca. Wysokolski niełatwo ulegał wątpliwościom tego rodzaju, chyba w chwilach wyjątkowego upadku ducha. Teraz myślał, że był dość niebaczny, nie biorąc nigdy do serca różnych Aramowicza drobnych zastrzeżeń, pańskich min, pobłażliwego tonu. Przystawczy do nich, Aramowicz wcale się nie zmienił, nie właściwie z siebie nie ustąpił. Wysokolskiemu starczyło, że był pożyteczny, w pewnym sensie nawet wierny, ale wierny jako polityk, nie jako człowiek. Na pewno miał swoje przyczyny, że szedł z nimi, może już i wtedy reprezentował nie tylko siebie. Jego wyraźny triumf po Dniach Majowych powinien był otworzyć Wysokolskiemu oczy. Wyszło na to, że tamten lepiej przewidział, ku czemu zmierza ich polityka, że od początku całą społeczną stronę ruchu sobie lekceważył, że ją naprawdę miał za „świetny demagogiczny chwyt”.

Wysokolski nie lubił w te rzeczy się zagłębiać, jako wojskowy nie mieszał się do polityki. Jego rzeczą było wykonywać rozkazy. Były naprzód takie, później były inne. Jego pogląd na nie pozostawał ten sam. Jednak przeżył i on dość ciężko ówczesne rozczarowanie i zamęt między ludźmi ich obozu. I od tamtej chwili nie odnalazł już dawnego swego w nim miejsca. Aramowicz natomiast znalazł nie tylko miejsce, ale całkowite potwierdzenie swych przewidywań, które na długo przedtem kazwały mu obrać tę drogę.

Po tym Aramowiczu myśl Wysokolskiego drogą naturalną przeniosła się na Honoratę. Gdy bowiem był u niej ostatni raz, wyznała mu na swój sposób niewinny i dzieweczny, że się zdradziła z ich sekretrem i to mianowicie przed panią Aramowiczową.

Wysokolski miał tę próżność, że jest człowiekiem czystym. Niechętnie przed samą sobą przyznawał się do ludzkich słabości. Był w swych uczuciach wstydlivy, był skromny. Nie wykluczało to samych faktów, ale w jego oczach zmieniało jednak ich naturę. Związcza przecie nie znosił, by znane były innym.

\* Ciąg dalszy. Por. nr nr 13—25 „Odrodzenia”.

(Ciąg dalszy w następnym numerze).

JERZY ZAGÓRSKI

# Warszawa oskarża

Ci, którzy 3-go maja przyszli na otwarcie Muzeum Narodowego wystawą „Warszawa oskarża” i spodziewali się ujrzeć tylko nowe nagromadzenie obrazów zbrodni niemieckich, byli miłe zaskoczeni ogólnym tonem, smakiem owej wystawy, takim jej skomponowaniem, żeby dokumenty krzywdy i gwałtu, jakim uległa nasza kultura nie przytłaczały życia. Dokumenty zostały nagromadzone, ale tak, że najbardziej nawet skłonny do pesymizmu widz stał przed oczyma również i szansę regeneracji. To a to jednak ocalało. To a to da się zrekonstruować. To a to sfotografowaliśmy, odrysowaliśmy, odnotowaliśmy, zapamiętaliśmy. Te a te szczerki staraliśmy się gromadzić tak, aby uzyskać wszystkie składowe elementy dla rekonstrukcji — tak mówili stoiska i sale wystawowe. A jeśli nagromadzone dowody zniszczenia i poniewierki jakiej ulegały obok ludzi i piękne ich dzieła, to przecież dobry smak organizatorów umiał tak je rozłożyć, aby nie straszły, nie wydawały propagandowego bełkotu, który odpycha albo podrywa zaufanie do prawdy, lecz spokojnie, choć obrazowo dokumentowały.

Organizatorzy pokusili się o bardzo istotną sprawę — żeby zwiedzający rzeczywiście poczuł się w muzeum, a nie na pogorzeliisku; w muzeum, które z pogorzeliiska się dźwiga. To zostało osiągnięte.

Jakimi drogami? Pewnie, że i przysłowio-wa szczypta szczęścia, która spowodowała, że oto gmachu nie zdążyli Niemcy wysadzić, że oto nie każde skrzydło dostało cios bombą. Ale było coś jeszcze innego. Wielka kilkoletnia praca zespołu ożywionego ideą ratowania narodowych wartości i silny duch kierownika. Na tle odrodzonego Muzeum dyrektor Lorenz ukazał się nam jako człowiek o niespożytej energii.

Od gabinetu dyrektora przez ciemne, na wpół uporządkowane korytarze, dwie wiodą klasyczne drogi dla turysty: jedna w podziemiu gmachu: w miejsce wspomnień. „W tej sali” — mówi oprowadzający — „w tej kolumni Niemcy stłoczyli parę tysięcy ludzi, stąd wyciągano pewnej nocy co dziesiątego, by go popędzić przed czołgami. Ja byłem dziewiąty... Obok stał młody chłopiec. On jedyny z tych, których wyciągnięto, powrócił...”

Ale od gabinetu dyrektora prowadzi i druga droga do sal, które murarze przywołują do życia, na uprzątnięte już podwórza, do żyjącego gmachu.

Do żyjącego gmachu... Jakie to dziwne zestawienie z muzeum, które zwykle rozumiemy jako jakiś pomysłany na wielką społeczną skalę zbiór rzeczy martwych.

Muzeum warszawskie, tak jak ono dziś odkrywa swe oblicze, to jest nieodłączny fragment życia Warszawy. To co ocalało z jego zasobów mówi: te rzeczy nie były łupione, nie były również wykupywane po świetle po cenach bezkonkurencyjnych. Powstało to przede wszystkim w drodze ocalania rzeczy, które by bez muzeum przepadły. Dlatego lapidaria składające się z rzeczy zgromadzonych w czasie okupacji przez personel pracujący bezinteresownie, lapidaria zawierające ocalone fragmenty z wartościowych artystycznie gmachów są tu tak wymowne. Z gruzów wygrzebano płaskorzeźby, postacie, kapitele. Posłużyły one, a w każdym razie mogły posłużyć do powołania nowego życia tych gmachów. Tak z kłosa przepalonego czasem i słońcem wysypuje się nie martwa plewa lecz ziarno. Stosunek do zbiorów jako do posiewu, a nie jako do kolekcji rozstrzyga o jego życiu a nie martwocie. W tym właśnie stosunku odnajdujemy duszę Muzeum Narodowego w Warszawie. Ten stosunek przesądza o jego celowości.

Wejść do sali imienia Szewczykowskiego. Ta supraporta z orłem z sali balowej Zamku Królewskiego nie została wyrwana cudzym cywilizacjom. Nie jest jak konie Świętego Marka w Wenecji przywieziona po jakiejś zwycięskiej wojnie. Nie przypadkowa harmonia kształtów decyduje o jej obywatelstwie na tym miejscu. Nie powiększy nigdy jakichś pinakotek. Ona tylko tu w Warszawie ma swój sens. I tylko pod tym dachem. Bo miłujące ręce mieszkańców Warszawy a pracowników tego domu przeniosły ją tu owej strasznej zimy z 1939 na 1940, gdy Niemcy dali dyspozycję rozdrapywania Zamku i było wiadome, że tylko to ocaleje dla nas, co uda się tu skierować. Kiedy po salach niszczonego Zamku „szabrowali” niemieccy dostojnicy, oficerowie i żandarmi, a Zamek był przeznaczony na wysadzenie, uzyskanie prawa wstępu na jego teren i sprowadzenie choć części poniszczonych przedmiotów do muzeum było wielkim osiągnięciem.

Oglądamy połupane kawałki malowideł Plerscha z gabinetu konferencyjnego. Jeszcze teraz, po wysadzeniu Zamku wśród jego gruzów widać klin złotej ściany. Ten zab muru, który tak stoi i niemo wspomina dawne piękno wnętrza zamkowych, to właśnie fragment ściany z malowidłami Plerscha — jedyny relikw Królewskiego Zamku. Tu na sali muzejnej leżą kawałki tej ściany, więcej ich spoczywa w składach. Oprowadzający twierdzi, że na podstawie tych fragmentów dałoby

się zrekonstruować całe malowidła ścienne gabinetu konferencyjnego. To właśnie jest sens muzeum. Zachować ziarno, by mógł odrósnąć kłos, z którego ziarno upadło!

Ale życie odradza się nie jako powtarzanie dokładne dawnego kształtu, lecz jako powtarzanie podobne. Dąb, który wydał żołądź i dąb, który z żołądza rośnie, są pokrewne, ale nie są w każdym szczególe powtórzone. Jeśli Warszawa znów się odrodzi, a z nią Zamek, będziemy po jej kształtach przypominali sobie dawny jej obraz, będzie on powtarzał Warszawę dawną, ale przecież nie dosłownie. Wnętrze zamkowych w całości już się nigdy nie powtórzy. Nie odtworzy się również portretów Bacciarellego, Lampiego, Grassiego. Ale duch dawnego Zamku będzie szukał naśladownictwa i będzie się chwycił przedmiotów pokrewnych. Może nawet ożywi niejedną dobrą inicjatywę, niejedną dobry czyn. Oto portret Stanisława Augusta — bezimienny dar dla Muzeum Narodowego z kwietnia 1945 r. Nigdy ten portret nie zdołał sal zamkowych, ale teraz jest zawieszony właśnie w sali, gdzie zgromadzone fragmenty z Zamku, ożywia ducha tej sali, co więcej budzi nadzieję, że ofiarodawca znajdzie naśladowców.

Zamek Królewski w Warszawie, siedziba chwały narodowej i grzechów, zbombardowany w 1939 r., rabowany, w grudniu 1944 wysadzony w powietrze... Na sali widzimy fragmenty, które świadczą o stylu. Marmurowe posągi, drzwi wielkie z sali balowej, kolumny z kaplicy zamkowej, wreszcie tron królewski, ze zniszczonym obiciem, pozbawiony orłów srebrnych, które przy pierwszej swej wizycie na zamku własnoręcznie zrywał Frank, dając tym sygnał grabieży. Płaskorzeźby z sali rycerskiej. Tu pół twarzy, tam pół hełmu, różni liktorskie i rozety z sali tronnej. Fragmenty z różnych sal Zamku przy przenoszeniu do muzeum skrzętni ocalacze numerowali i opisywali w specjalnym inwentarzu. Trzeba było wiele zawziętości i męstwa, by je ocalić.

Duch muzeum najlepiej daje o sobie znać w tej sali, ale zwiedzający wystawę byli oprowadzani w innej kolejności. Najprzód wchodzili do „sali rzeczy nienaruszonych”. Miało to swój głęboki sens. „Tak wyglądało 39 sal muzeum, tak będą również wyglądały wszystkie sale muzeum, jeśli praca nad jego odbudową znajdzie nadal poparcie i jeśli sprawa rewindykacji przybierze należyty obrót”.

Kto z kamiennej warszawskiej pustyni wszedł do muzeum jak do oazy dźwięniętej już ludzkim trudem, kogo zaskoczyła już przed wejściem bijąca fontanna w mieście pozbawionym wodociągów, kogo w hallu uderzyła jasność, czystość oszklonej już hali, kto wszedł na tę salę, doznał jeszcze miłszego wzruszenia — oto gabloty, meble, napisy. Czystość, porządek i smak. A przecież w rzeczywistości jakże bardzo uboga jest ta sala, uboga w zestawieniu z tym, co bywało, uboga dziś zresztą bardziej ilością niż jakością eksponatów, bo przecież i Rembrandt i Matejko tu jednak są! Rembrandt w doskonałym stanie. Słynny autoportret, który identyfikowano za naszej pamięci i piękny portret żony. Obraz Matejki jest tym razem mały, temu za pewne zawdzięcza swe ocalenie bez uszkodzeń. Przedstawia Łokietka zrywającego układ z Krzyżakami. Mały rozmiarem, ale o kompozycji monumentalnej, znany z reprodukcji, świetnie ogniskujący moce i osobliwość matejkowskiego pędzla.

U wejścia do sali stoją jak lokaje lub kustosze sukmana i frak — symboliczne „ocaliska”, bo tak chyba trzeba by to wszystko nazwać. Wśród tych „ocalisk” widzimy trochę porcelany, szkła, mebli, haftów i gobeliny.



Jedna z sal Muzeum Narodowego z ocalonymi rzeźbami kościołów warszawskich

Parę marmurów, szpinet, kilka szaf, zydli, parę chińskich waz, coś pięć zegarów, dwa niewielkie lustra, naczynia metalowe, porcelana, skarbiec, kasety, krucyfiksy, małe witraże — oto prawie już wszystko, co zobaczyliśmy w tej sali. Niewiele tego, niewiele, ale dla kustoszów ta sala jest ową arką Noego, która po potopie uniosła zasadnicze elementy życia, z której później miał się odrodzić nowy świat.

Jak wyglądał ów potop, o tym mówi wielka sala na prawo od wejścia, w której niegdyś mieściły się „Zbiory Sztuki Starożytnej”. Dziś opowiada ona o niedalekiej, niemal dotykanej przeszłości.

Oto półka archiwalna: pogięty, ogniem i gruzem zabrudzony metal, deska częściowo zwęglona i na tym ułożono kawałki książek spalonych na biały popiół. Czasem kremowy odcień owego popiołu mówi nam o innych gatunkach papieru. Znamy ten biały popiół doszczętnie spalonych książek. Znamy go z własnych domów, z gruzów, w których szukaliśmy śladów swego prywatnego życia. Tu nam pokazano, jaki rozmiar miało owo palenie. Nad półką wielki złoty napis na czarnym tle: „Spalonych i wywiezionych 250.000 książek Biblioteki Narodowej, 400.000 książek Uniwersytetu, 250.000 książek Biblioteki Publicznej. Nie istnieją zbiory Biblioteki Wojskowej, Biblioteki Krasieńskich, Biblioteki Zamojskich i wielu innych”.

Jeśli kogo liczby nie wzruszą, a idzie mu o szczegóły, o konkretnie łatwiejszy do ogarnięcia, to niech spojrzy na to stoisko, gdzie pod szkłem leżą same stare książki na wpół zwęglone, poszarpane, podarte: „Po kilkowiekowej służbie spalone mściwą ręką okupanta”. A pod szkłem gabloty sąsiedniej, cóż to znów za „dzieło opatrzone pieczęcią niemieckiej kultury”? Czy to cios sztyletu rzuca cię na tę starą księgę? Nie, ona nie jest ani rozdarta, ani przedziurawiona. Cięś ow rzuć plaster jakiejś brązowej pleśni na jej stronicach. To ekstremy niemieckiego żołdaka. Ze zwiedzających nie każdy chce uwierzyć w autentyczność owej profanacji. Zapewniłem ich, że tak bywało, bo wiem, że książki z mojej własnej biblioteki niemieccy lotnicy rozciągali po podwórku i załatwiali się na nie.

Przy okęcie z domu Baryczków nie wiesz, czy masz więcej się radować z ocalenia tego przedmiotu, czy płakać nad domem, którego był ozdoba. Ale szych kolorowy, który przedstawia „Kościół archikatedralny św. Jana w Warszawie 1825” poi nas otuchą: ależ i niegdyś była to częściowo ruina, choć strojny tłum empirywo pieśzo i pojazdami tu dążył. Nigdy katedra warszawska nie dostała takich ciosów jak obecnie, ale już nie pierwszy raz leży w gruzach i nie pierwszy raz czekała ręki odnowicielskiej. Dziś z katedry ocalała ściana zewnętrzna prezbiterium — dawnej zamkowej kaplicy, ściana od strony Kanonii. A na tej ścianie ani ogień, ani pocisk, ani dłoń burzycielska nie zniszczyły tablicy, która notuje dzieje budowy, przeróbek i wznowień katedry. Nad tablicą postać zranionej pociskiem Madonny. Ten obraz obecny żywo mi stanął w oczach, gdy spojrzałem na szych z 1825 roku, może obok niego fotografia katedry w obecnym stanie właśnie od strony Kanonii miałyby swą wymowę?

Mijamy inne stoisko: stos metali pogiętych, podziurawionych, zmiażdżonych ogniem, zatrzymuje nas płaskorzeźba rozbita. To twarz Mickiewicza. Twarz ocalała, odpadło tło. Przypominamy sobie, że w innej sali leży właśnie głowa ocalała z mickiewiczowskiego pomnika. Obok stojącego dziś przed muzeum Kilińskiego i leżącej w nim postaci Zygmunta III, jedyny „relikw” dawnych pomników Warszawy.

Spójrz na tę głowę kobiety — to opalony, przytarty ogniem brąz wielkiego dłuta d'Espina.

Ale oto przykuwa oko, bo już z dala oko pociągała grupa marmurowa S. Motellego „Adam i Ewa”.

Adamowi zostały tylko nogi i brzuch. Te pół Adama stoi przytulone do torsu bezgło-

LECH PIWOWAR

## LIST

Rzuc od nas w to miasto list wiosny.  
Niech się odzieje młodością świat stary!  
List, chorągiew, a na niej gniewne znaki radości.  
Rzuc ten list. Liść października w wielowieczny Paryż.

Szerokim, szorstkim natchnieniem, iskrą Carmagnoli idą flumy swobodne broczą upałem dzielnicą.  
Battignoles, Battignoles!

Tu dom, gdzie jeszcze drży skrzydło po odchodzącym Mickiewiczu.

Tu jeszcze dom rozsadzany płomieniem, Bastylia.  
W nią artykuły Tribune des Peuples, dławiony ogień!

Tu jeszcze cień z za rogu się wychyla,  
żandarm napoleoński, i kładzie swą pieczęć nad progiem.

Tu jeszcze lecą karty szarpanego jak pieśń zemsty dzieła.

Obywatelu Proudhon, Mickiewicz ciebie bronił  
To dla nas te pokryte milczeniem muzea rewolucji. List złoty w poetyckiej dłoni.

Jeszcze nas zwola Komuna, krwią naszą spłynie.  
Jak ojczyzna, miasto wybrukowane najpiękniejszymi z polskich słów.

Poeci uczyli gniewu, który zabiło. Tu. Przyjdziemy nieznanymi, inni,  
gniewem mury rozwałać znów.

1937 r.

wego Ewy. Chyba po raz pierwszy zostali „tak” wygnani z raj. Zaiste, miecz zniszczenia XX-sto wiecznego był bardziej mściwy i bardziej zazdrośny o spokój posągów, niż biblijny miecz archanioła o szczęście ludzkie. Obok na ziemi leży tors Adama, który utracił lewe ramię i palce w prawej dłoni, leży oparty o postument, na którym stoi połowa jego ciała z bezgłową, bezramienną Ewą. Nos Adam ma odłupany, jak nieraz bywa u posągów antycznych. Biedro obejmuje mu prawe przedramię Ewy.

Twórca tej grupy Motelli był o ileż szczęśliwszy od Kuny, z którego rzeźby obok pozostała tylko stopa lewa i kłęczące prawe podudzie.

Idźmy dalej...

Od tych dokumentów niech oko się odezwie i podaży ku ścianie, na której wielki nowy fresk można by nazwać „Ci sami”. Na tym ściennym malowidle zostały w syntetycznym skrócie podane miasta niszczone przez Niemców w dziejach. Oto Germanie w hełmach z rogami przechodzą przez Rzym. Na tarczach ich swastyka, ta sama, którą znamy. Wyżej już, z czarnym orłem na tarczach, pędzą białych niewolników. Jadą Krzyżacy z olbrzymimi kopiami i z pawimi pióropusami. A oto biała armata w katedrę w Reims. Samoloty szturmują Warszawę, piechota wkracza do kościołów.

Inne stoisko, inny materiał dowodowy: opakowane, przygotowane do wywózki obrazy i meble. Na rulonach i pakach napisy: „Museum Warschau 1003, 1006...” Na największej z pak z obrazami napis: „1570 Museum Warschau, Vorsicht Glas!”

Dowody, dowody, dowody... Tajne wykazy polskiej literatury przeznaczonej do wytopienia, potwierdzenia konfiskat, spis książek wziętych z biblioteki uniwersytetu do oddzia gabinetu Franka, tajne zarządzenia niemieckiego urzędu propagandy...

Las rzeczy zniszczonych rośnie... Mineśliśmy znowu księgi i znowu wchodzimy w galerię przedmiotów. Poniszczono fortepiany, zabytkowe sanie, zbroja renesansowa wydobyta z rozwalin domu przy ulicy Matejki, po przetrwaniu bombardowania, pożaru, śniegu i deszczu.

Kiedy z tej sali wyjdziemy, będzie nas żegnało wyobrażenie strzaskanego pnia, który wypuszcza z wiosną ku niebu nowe pędy. Przed pniem kilka zwęglonych belek, obok czarne żelazne krzyże, ale pień jest biały, a liście na pędach są pożłocane. Skąd ten styl? Pseudoklasyzm, czy empir? — To styl dominujący architektoniczny Warszawy. Izłoty napis nad drzewem: „Nie zniszczył kultury polskiej wróg, odradza się strzaskany pień”.

Ludzie szybko przechodzą przez ostatnią salę, bo już zmęczeni woźni dają znaki zamknięcia wystawy. Ale tłum cały zatrzymuje się i przepycha przed wyciągami z kroniki pisanej przez dyrektora Lorenza. Są tam rozdziały bardzo suche w zestawieniu faktów, ale są i bardzo silne w wyrazie i nastroju. Prawda je dyktowała. Prawda również unosi się nad oskarżeniem, jakie Niemcom wytacza zrabowany, zniszczony, ale nie powalony gmach.

W poprzednim (25) numerze „Odrodzenia” z dnia 20 maja: Wincenty Bednarczyk: Tragedia pomyłek. — Helena Boguszewska: Danusia Dzierłacka. — Zbi-gniew Bienkowski: Do syna. — Adam Ważyk: Norwid urojony. — Kornel Filipowicz: Piosenka czeska. Krzak gorejący. — Uczeń rosyjski w powstaniu styczniowym. — Zofia Nałkowska: Węzły życia (12). — Józef Sieradzki: Szkoła na przedwiośnie. — W oczach pisarzy. Ankieta „Odrodzenia”. Odpowiedź Jalu Kurka — Juliusz Kydryński: Przegląd teatralny. — Kazimierz Wyka: Teatr w jawnym podziemiu. — Kronika filmowa. — (kb): Przegląd prasy. — Kalendarz kulturalny. — Jan Kott: Po prostu. O publicystyce. — Kronika. — Stefania Łobaczewska: Przegląd muzyczny.

KAZIMIERZ CZACHOWSKI

# Ostatnie lata Zegadłowicza

Kto znał Emila, w osobistym obcowaniu jednego z najrozkośniejszych ludzi, tego od pierwszej chwili uderzyć musiała jakaś wręcz żywiołowa żywotność spalającego się w poecie twórczego ducha. Przebija się to wyraźnie i w jego dziełach. Może nigdzie tak bezpośrednio, jak w „Zmorach“, powieści więcej osławionej niż należycie ocenionej.

Zresztą Zegadłowicz, jako pisarz, miał tę kardynalną wadę, która fatalnie zaciężyła na całości jego drukowanej spuścizny, że nawet kleks, jaki przypadkiem spłynął mu spod pióra, gotów był przeznaczyć pod tłocznię. Toteż, gdy dzisiaj zabieramy się do czytania tego olbrzymiego tomiska, w jakim ukazało się zbiorowe wydanie „Dziwan“, gadatliwość i rozlewność słowa poetyckiego podkreślone optycznie wielością wprowadzonych do tekstu myślników, zraża nas i odstrasza tak dalece, iż nawet przeoczymy zawarte w owej kolumbrynie fragmenty niepospolitego piękna.

A nie ulega wątpliwości, że umiejętnie dokonany wybór z całej poetyckiej spuścizny Zegadłowicza, przedstawi nam go znówu jako istotnie wielkiego poe, jednego z najciekawszych i najsamodzielniejszych twórców swej epoki. Niezmiernie żywe i dogłębnie przeżywane przez poe, odczucie ziemi i przyrody wszystkimimi zmysłami człowieka i artysty, uświadamiany sobie przezeń najściślejszy związek z kosmicznym technieniem świata, jak gdyby wręcz pociowo odnaleziony w tym związku intuicyjny sens osobistego istnienia — oto, co Zegadłowiczowi jako poecie nadaje odrębne piętno i co wydobycie z jego twórczości akcenty istotnie wielkiego aryzmu.

Aby jednak aryzm ów ocalić z potopu zalewającego go wielosłowia, trzeba odrzucić wszelkie owe kleksy, myślniki i cały stos gadaniny, czyli dokonać za poe tej pracy redakcyjnej, której nie zdążył już podjąć. Bo że mogło to stać się jego zamiarem, dowodem „Uśmiech“, doprawdy śliczna powieść ze wspomnień dzieciństwa, wydobycia z nowej autorskiej redakcji jakże rozdetej i wręcz przeraźliwie rozgadanej trytomowej „Kroniki Mikołaja Srebrzypianego“.

Ów grzech pierworodny Zegadłowicza, jako poe i jako pisarza, poniekąd ciążyący i na „Motorach“, wystąpił jakby ze wzmoczoną siłą w „Martwym morzu“, powieści tak nudnej i nużącej w czytaniu, że z podziwem odkrywamy i w niej jednak kilka kapitalnych rozdziałów, zwłaszcza cały epizod pijackiej wędrówki po Krakowie i okolicy. W takich właśnie fragmentach jak żywy staje nam na oczach Emil w swej właściwej twórczej postaci, ów przedziwnie czarujący i w swoim rodzaju jedyny człowiek i artysta, lub raczej: człowiek-artysta. Bo była to indywidualność najrdzeniej artystyczna, tak w życiu, jak i — mimo grzechy przeciwko sztuce — w twórczości.

Ostatnim drukowanym przedwojennym utworem Zegadłowicza był „Dziecinny pokój“, znany tylko nielicznym, bo ze względu na drastyczność tematu niemożliwy do opublikowania. Autor sam wyznał później: „Pokój dziecinny“, to pewnie najlepsza rzecz jaką napisałem — pomijając słoństwa jakie się tam poniewierają — rzecz „sama w sobie“ godna uwagi...“ Gdzie indziej jednak czytamy taką Zegadłowicza refleksję: „Tragedia Polski jest, iż jej pisarze umierają za młodo. Dopiero po pięćdziesiątce można dać rzeczy najdojrzalsze, najlepsze“. Ten okres dla Zegadłowicza rozpoczął się z rokiem 1938 i jak wolno sądzić z tej części jego rękopiśmiennej spuścizny, która ocalała, istotnie w twórczości pisarza nastąpił pewien przełom, a jego niestrudzona żywotność pozwalała rokować, że w owym dojrzałym rozwoju energii twórcy stać go byłoby na dzieła, w których wypowiedziałby się najzupełniej i najdoskonalej.

W krąg twórczości Zegadłowicza od roku 1939 weszła nadto inna siła „motoryczna“. Oto Maria Koszyc, znana czytelnikom przedwojennych „Sygnałów“ i niektórych innych pism z wybitnie inteligentnych artykułów krytyczno-literackich, poznana przez niego w roku 1937, bezpośrednio przed wojną i już do śmierci Zegadłowicza stała się jego literacką współpracownicą. Według jej i poe zgodnych piśmiennych relacji, wszystkie powstałe w latach 1939—40 utwory dramatyczne pisali oboje razem, również powieść „Progi“, której rękopisu los na razie nie znany, była ich wspólnym dziełem, wreszcie skończony i dochowany przekład „Hajawaty“ Longfellowa.

Mimo nieuleczalnej choroby i związanych z nią cierpień, mimo ciężkich warunków materialnych, mimo wreszcie najgorszej z tego wszystkiego udręki „okupacyjnej“ — Zegadłowicz w ostatnim okresie swego życia rozwinął nawet u niego niebywałą energię twórczą. Trzy dramaty: „Wasz korespondent donosi“, „Domek z kart“ i „Sind Sie Jude?“; poemat prozą: „Dziwaczyna“; wspomniana powieść: „Progi“; projektowane dalsze dwie części „Martwego Morza“: część II pt. „Czwartek“ i część III pt. „Łucja“; II część „Zmór“ pt. „Alma Mater“; powieść pt. „Małżeństwo“; przekłady (oprócz „Hajawaty“ — „Aurelia“ Nerval); scenariusze filmowe; mniej liczne wiersze liryczne; mnóstwo nieraz świetnych uwag i aforyzmów; kilka manifestów politycznych; urywkowy dziennik, zawierający

kapitałne charakterystyki ludzi i szereg przenikliwych rozważań estetycznych i politycznych; w końcu zamierzona książka z zakresu psychologii pedagogicznej na temat wychowania młodzieży w okresie dojrzenia — oto niezupełne sumaryczne zestawienie prac i projektów literackich Zegadłowicza z ostatnich lat życia.

Nie zdążył — oczywiście — wszystkiego dokonać, nie wszystko z tego, co napisał, ocalało. Śmierć przecięła twórczość w pełni rozmachu i rozkwitu. A że Maria Koszyc, w parę lat po śmierci Zegadłowicza, uwięziona przez Niemców, zginęła w obozie, więc zabrakło i tej, która współpracując z poe w ostatnim okresie jego pracy, mogła być — zgodnie z jego wolą — doprowadzić pozostałe w spuściznie po nim utwory do potrzebnego dokończenia lub wykończenia.

W obecnym stanie rzeczy — poza przekładem „Hajawaty“, którego rękopis będzie później dostępny — mamy do rozporządzenia dwie sztuki dramatyczne: „Domek z kart“ (w całości) i „Sind Sie Jude?“ (bez nienapisanego ostatniego aktu), kilka utworów lirycznych, fragmenty dziennika z lat 1940—41, zbiór przepisanych przez Marię Koszyc myśli, manifestów i wyznań poe z lat 1938—40. Z tych ostatnich rzeczy bardziej osobiste, aczkolwiek dla charakterystyki poe i człowieka ciekawe, ze zrozumiałych względów chwilowo nie nadają się do ogłoszenia. Większość jednak tych spostrzeżeń czy zwierzeń, doraźnie przez poe spisywanych, po odpowiednim uporządkowaniu tekstów należałoby od razu oddać do druku, tak ze względu na ich znaczenie myślowe czy też autobiograficzne, jak i z powodu społeczno-politycznej aktualności poglądów autora „Motorów“, który już w pierwszych latach okupacyjnych w stosun-

ku do naszej terażniejszej rzeczywistości dziejowej zajmował zdecydowane stanowisko.

Znalazło to zresztą wyraz w dramacie: „Domek z kart“, ukończonym w marcu 1940 r., a którego tematem jest druzgocąca krytyka rządów sanacyjnych, rzucona na tło wybuchu wojny niemiecko-polskiej. Także wcześniejsza, ukończona przed wojną sztuka pt. „Wasz korespondent donosi“ (poprzedni tytuł: „Interview“), której rękopis doręczony Stefanowi Jaraczowi zginął podczas wojny, miała temat aktualno-polityczny. Według notatki Marii Koszyc, sztuka ta odzwierciedlała polskie stosunki przedwojenne na tle pacyfikacji powstania chłopskiego w r. 1938. Była to rozprawa z ostatnimi, lecz jeszcze tu i ówdzie mocnymi „podrygami“ przeżytków pańszczyzny, z jej zakorzenieniem w psychice chłopca i „pana z chłopca“.

W ogóle Zegadłowicz miał w tym okresie niezliczoną ilość pomysłów scenicznych, które zamierzał realizować wspólnie z Marią Koszyc. Mawiał wtedy do niej: „Zarzucimy Europę sztukami“. Owe wizje i pomysły dramatyczne wręcz go rozszalały — tyle ich było i tak silnie zaprzętały twórczą wyobraźnię poe.

Niestety, z dwóch sztuk dochowanych, „Domek z kart“, mimo bezsporną aktualność, nadającą dramatowi wartości dodatnie na użytek chwili bieżącej, ze stanowiska literackiego jest zaledwie „reportażowy“, aby artystycznie mógł wytrzymać próbę czasu. Pod tym względem bez porównania donioślejszą przedstawia się sztuka „Sind Sie Jude?“ — sztuka jednak niewykończona i nawet niedokończona. Z literackiej spuścizny rękopiśmiennej Zegadłowicza, jaka jest obecnie dostępna, pozycja to najciekawsza i zasługująca na bliższą uwagę.



Emil Zegadłowicz  
Studium portretowe Leonarda Ozolsa

W dzienniku poe pod datą 2 stycznia 1941 r. czytamy:

„Po południu poznaliśmy tajemniczego, już dziś legendarnego Merina — organizatora Żydów — przywódcę duchowego Żydów — Merina, który wywiódł Żydów z niewoli najsroższej i upodlenia — uratował dziesiątki tysięcy żywołów — przywrócił im godność ludzką. Istotnie: postać niezwykle! Zewnętrznie: raczej niski (tzn. średni wzrost) — bardzo szczupły, ruchliwy, lecz nie nerwowy — twarz wychudzona (policzki wybrane) — oczy jasne — wzrok badawczo-bystry — wysokie, wypukłe czoło — włosy gładko zaczesane do tyłu, długie (na karku przycięte równo — i tutaj wypukłe); twarz ogolona (na portrecie, który wisi w jego gabinecie — słusznie zauważyła Eli (= Maria Koszyc) — aktor, komik, poeta) — zresztą nie idzie tu o opis! — Merin — promieniuje — działa — zniewala! Syn Dawidowy! — Archanioł (ascetyczny)! — nawet wysoko — prawie do kolan — sznurowane jego buty są jakoby lśniąca nagolennice! — Wielki człowiek! — to nie ulega kwestii! — Zwycięzca! — to pewnie!“

Oto zawiązek i wzór życiowy ostatniego dzieła dramatycznego poe, mimo niedokończenia z powodu śmierci, bez wątplienia jednego z najcelniejszych utworów z całej jego drukowanej i niedrukowanej twórczości. Wprawdzie projekt podobnej sztuki wcześniej już naszkicowała Maria Koszyc, lecz opierając się na przytoczonej i paru innych zapiskach dziennika oraz na redakcji dramatu, spisanej w styczniu i lutym 1941 r., poznanie przez Zegadłowicza Merina stało się istotnym motorem, który nadał dziełu, opracowanemu wspólnie przez Zegadłowicza i Marię Koszyc, sugestywną żywość charakterystyki i emocjonalne napięcie dramatycznego pogłębienia. Sztuka miała nosić tytuł: „Natan, syn Dawida“, lecz ostatecznie autorzy postanowili przywrócić jej tytuł, nadany przez Marię Koszyc wcześniejszemu szkicowi: „Sind Sie Jude?“. Tekst w brulionie ołówkowym (z poprawkami i skreśleniami obojga autorów) spisała Maria Koszyc. Zawiera on prolog (bez początku, który gdzieś zapodiano) i 4 akty (lub obrazy). Prolog, w całości pióra Zegadłowicza, znajdujemy w dzienniku poe. Dwie te dochowane redakcje prologu różnią się w szczegółach (wariantami tekstu), lecz łatwo je uzgodnić, bo w akcji zmian nie ma. Zresztą domyślać się wolno, że redakcja Marii Koszyc w znacznym stopniu była dziełem Zegadłowicza, który będąc już ciężko chory, w ostatnich tygodniach życia, wyręczał się piórem swej najserdeczniejszej przyjaciółki i najpoufniejszej współpracownicy. Nie da się — oczywiście — oddzielić udziału obojga autorów w dziele posiadającym zresztą tak zwartą jedność dramatyczną, jak gdyby rzecz wyszła spod pióra jednego tylko twórcy. Świadczą to bądź o przeważającej roli twórczej Mistrza, jak Maria Koszyc nazywała Zegadłowicza, bądź też o wyjątkowym zespólniu duchowym autorskiej współpracy.

Tymczasem złośliwy nowotwór, który pomimo dokonanej operacji nie przestał się rozwijać, coraz mocniej niszczył osłabiony organizm twórcy. Na ostatniej karcie dziennika, pod dopisaną przez Marię Koszyc datą 24 lutego 1941 r., dniem śmierci poe, czytamy zmienionym, drżącym piórem nakreślone słowa jego ostatnie:

„Odczuję bez lęku — spokojnie, jakby w ciszę Wielkiego Lasu — prawie z radością. E. Z.“

Według zaś dopisku dożgonnej przyjaciółki wciąż pytał o godzinę; domagał się zastrzyku pantoponu; powiedział do niej: „bądź dobra dla wszystkich, nie pozwalaj sobie nigdy narzucać broni, lecz walcz swoją własną“; wreszcie troszczył się o ulubionego „kotika“ (kotka) gorzeńskiego, aby dano mu „chleb łąskawy — dobry i smaczny“.

Tak odszedł spośród żywych poe, o którym sądy mogą być rozmaite, lecz któremu nikt zaprzeczyć nie zdoła, że kochał człowieka i że był wiernym posłannikiem i rzecznikiem ludzkości.

EMIL ZEGADŁOWICZ

## NA DNE SKRZYPIEC\*)

Dom. Życie. Pudło skrzypcowe.  
Wichry na strunach grają.  
Dźwięki modre, dźwięki pąsowe  
Witają, mijają, żegnają.

Na dnie dźwiękami żywicznych  
Wonnych muzyką skrzypiec —  
Mieszkam — oddycham, karmię się tonami  
— Bielą sytki grudzień, miodem lepki lipiec,  
Wrzesień naichniony wroszami.  
A kwiecień? Kwiecień! Ołóż własnie!  
Zawilce sennel Mdle kaczeńce!  
— i wle dy! (zanim księżyc zgaśnie)  
wicher plaźmieje w twarde ręce:

Modrzewiem — ekstatycznym smykem  
po strunach wali (drży noc głucha)  
aż pudło skrzypiec straszny miżkiem  
woła ratunku! Nikt nie słucha!

Zanim się brzytwa świt wysini  
i chytrze struny poprzecina,  
gra wichr — szalony Paganini —  
na tej ostatniej: śmierć Böcklina.

Mijają noce, dni, tygodnie,  
mijają lata, lał tysiące.  
Nad moim prochem niezawodnie  
grać będą skrzypce wicherzące.

## Z myśli i uwag\*\*)

W postępowaniu (w odnoszeniu się) z ludźmi nie kierować się nigdy żadną teorią, żadnym systemem, żadnymi wzmowieniami — odrzucić wszelkie przesady religijne, ojczyzniane, rasowe, kierować się tylko instynktem ludzkim — nie widzieć złych, widzieć błędzących — nie litować się lecz poznawać, nie gniewać się lecz uświadamiać, nie nienawidzić lecz podnosić.

Rząd Nowej Polski musi powstać na terenie Polski; nie śmie przychodzić z zewnątrz od ludzi, którzy żyjąc w dobrobycie, o wątpliwych źródłach materialnych, nie wiedzą o Polsce nic. Polska ich imaginacją jest... złudą i nieprawdą... I nie mogą się rozstrzygać przyszłe losy Polski i jej drogi dziejowej na terenach emigracyjnych i na krajach stołów dyplomatycznych własne swe interesy reprezentujących. Gdyby taki sztuczny twór miał powstać, taka Polska wydyplomacyzowana — stałaby się rychło terenem walk i zarzewiem nowych wojen. Rząd Polski musi powstać na terenie etnicznych Polski. Rząd rozumny i rozumiejący — nie ekskluzywny, nie mocarstwowy — lecz Rząd o poczuciu misji dziejowej, która wykląda się jako zbliżenie ery stanów zjednoczonych Europy. Starzy panowie z epoki legionowej nigdy tego nie rozumieją; wraskże zawsze odznaczali się tepotą i tą niefrasobliwością, która cechuje ludzi piytkich i terażniejszości tylko poddanych.

Rzekł mi Niemiec: my budujemy na nienawiści wszystkich narodów do nas; wiedząc, że jesteśmy otoczeni wrogością, poczuwamy się w prawie być brutalnymi, bezlitosnymi i okrutnymi. To zdanie charakteryzuje Niemców doskonale; od wielu tysięcy lat nie było (gromadnie) społeczeństwa bardziej zewierzeczonego i katowskiego; Hitler swą genialnością... wyzwolił z Niemców wszystko co niskie, mroczne, podłe — sadystyczne; zepchnął ich na pogranicze stworzeń neanderthalskich, nikt tak nie skrzywdził jeszcze — i nigdy! — swego narodu jak ten — sugestionujący — rakarz i szczurołap.

\*) Ostatni wiersz poe, pisany w Gorzeniu Górnym 3 listopada 1940 r. Z odpisu Marii Koszyc podał do druku Kazimierz Czachowski.  
\*\*) Z rękopisu poe z lat 1938—1941 i z odpisów Marii Koszyc wybrał i podał do druku Kazimierz Czachowski.

Pewnemu Żydowi rzekł Niemiec: — was nienawidzimy z rozkazu — Polaków z instynktu.

Przeraża mnie zdrada Hamsuna! — Zawiodł wszelkie zaufanie (w zakresie: oparcia się, wiary). — Jest tu i problem kradzieży — wszakże nagroda Nobla sponuje pokój, miłość człowieka, humanitaryzm, altruizm — i wszelkie te „przestarzałe“ szlachetności! — aż tu! — Hamsun — przyjaciel gremialnych zbrodni, absolutyzmu, imperializmu, zaborczości — przyjaciel tych, którzy najniecierliw w historii sieją posiew grozy, strachu, nie-szczęść, poniewierki, śmierci! — „Utalentowany“! — Bzdura! — „Błogosławieństwo ziemi“! — arcydzieło! Oczywiście! — Lecz autor zostanie po wiek wieków oszustem!

Zawsze tę zwinność zachować — przygotowanym być, że każda minuta może stać się odskocznią w nowe sfery! Trzeba być współczynnikiem ewolucji! — zawsze to pamiętać! — nie kostnieć, nie pleśnieć! — w buntowniczości też można być konserwatystą! Uważać!

Nowy bóg — nowy teatr. Wszelka rewolucja idzie przez teatr. Teatr z założenia swego jest tendencyjny. Robotnik, który przybija pierwszą deskę podium, już podkreśla tendencyjność teatru (tzn. chce wskazać coś, co leży wyżej o trzy metry — chce przemówić).

Znacznie więcej cenię inteligencję asocjacyjną niż intelektualną.

Od dawna widzę sens w tym, by być redaktorem człowieczych spraw — w opisie, stylu, treści, wreszcie w — szale „delikwentów“.

Przewyciężenie bólów fizycznych wraz z przewyciężeniem prowincjonalizmu — to są moje atuty! — wygrane moje z tych dwu źródeł piyną — źródła posępne — lecz rzeka z nich poczęta — splewna, użyźniająca!

PAWEŁ HULKA-LASKOWSKI

# Co czytałem podczas okupacji niemieckiej

MAURICE BARRÈS

W jedenastym tomie „Mes cahiers“, Barrès notuje: „Repression. Co widziałem w roku 1870... Charakter ludów pozostaje stały w ciągu stuleci. Były to ościężałe bydłaki, już to złośliwe, już to płacziwe. Nie zapamiętano po nich w małych miasteczkach ani jednego słowa czy to dowcipnego, czy pożytecznego. Przychodzili i odchodzili, podobni do śmiejących wyziewów płynących przy odpowiednich wiatrach na skraju Paryża. Co za plugawa rasa! Powiedziałem, że złośliwa. Tak jest, że strachu. Żyli w ciągłej trwodze, że zostaną otruci jedzeniem, zabici lub spaleni żywcem we śnie. Aptekarz Marriot wyszedł pewnego wieczora, aby z ulicy zawołać swego sąsiada; Prusacy zakuli go natychmiast bagnietami, bo się przerazili, że wzywa ludzi do broni. Wietrzni piwnic trzeba było zabijać troskliwie deskami. Wieczorem trzeba było oświetlać wszystkie okna, a jeśli na ulicy zbierało się więcej, niż trzy osoby, żołnierze mieli nakaz strzelania do nich natychmiast. — Tak było z reguły. Co i raz to któryś z tych wystraszonych żołdaków strzelał do okna w głębi ogrodu i zdarzały się noce rewizyj powszechnych, podczas których aresztowali oni każdego, kto się nawinął pod rękę, a wstydząc się przyznać swoim przełożonym do swych pomyłek, zmyślali różne bajki i wymuszali na miastach kontrybucje i palili domy wyznaczone przez los. Gdy się widziało takie sceny mordów i palenia domostw, to się już zawsze pamięta te plugawą rasę“.

A więc nic się nie zmieniło w duszach tych niedoczołwieczonych bandytów, których każde pokolenie musi wyruszać na swój własny „feldzug“, aby się oderwać od wstrętnej im cywilizacji, aby bezkarnie mordować, łupić, kraść i popełniać najohydniejsze oszustwa. „Na północy Francji — dodaje jeszcze Barrès — w Alzacji i na wszystkich w ogóle terytoriach okupowanych przez Niemców, powtarza się zdanie, że Prusacy są mistrzami zdżyczenia. A zresztą każdy Niemiec, czy to będzie Sas, czy Badańczyk, czy Wirtemberczyk, zawsze się zgadza, że Prusacy to bydłota“. Z przeproszeniem bardzo czcigodnych i zacnych bydła, które stoją przecie o tyle wyżej w hierarchii stworzeń bożych od tych dwunogów, którzy mają nazwę Niemców, a dla których trzeba będzie dopiero znaleźć nazwę właściwszą. Jakimż pętkiem był Neron wobec takiego łobuziaka jak Himmler, jakim rycerzem szlachetnym Dżengis-chan wobec półgłówkowego Hitlera. I w ogóle te twarze!

Niemiec gdański, Rauschnig, w swej książce „Rewolucja nihilizmu“ mówi o generalnym zbrzydzeniu postaci i twarzy. „Nigdzie nie widać szlachectwa krwi, umysłu czy duszy, wewnętrznej walki, prawdziwego spokoju, tylko rozbiegane i znowu ślepiące oczy, brutalne miny, niezdarne ruchy, gąbczaste albo powykrywane twarze, nie wyraz, ale grymas. Jest to typ podmiejskiego pomocniczego kierownika, utrzymującego się przy magicznym kierownictwie. Reprezentuje on nie tylko „wściekłą partii“, ale zawiść i żądzę władzy mieszcza. Jakież tysiąclecie rozwoju dzieła ten typ od prawdziwie ludzkiego, pięknego typu moralnego“.

## O STARYM FRYCU

Czytałem choiwie wszystkie niemieckie książki zakazane, jakie wpadły mi w rękę. Osobliwie dobre mi robiły dzieła krytyczne o zbojęckim królu pruskim, Fryderyku II. Niemcy nazywają go wielkim, a Wilhelm II, gruboskórny jak każdy Prusak, podarował republikańskim i demokratycznym Stanom Zjednoczonym, ojczyźnie Waszyngtona i Lincoln, posąg tego łupieżcy. Ponieważ armia niemiecka była nazywana armią Fryderyka II, przeto bardzo poczytałem to, co Tschuppik pisze o tej armii w monografii o Marii Teresie. Władysław Smoleński w swoim artykule „Zły sąsiad“ — przyczynek do historii łupieństw pruskich w Polsce — W-wa 1904, pisze o łapanach chłopów polskich dla armii Fryca. Przy wychowywaniu tej armii Fryderyk stosował metody najbardziej barbarzyńskie. „Żołnierz — pisze on w swej instrukcji dla oficerów — powinien bać się oficera bardziej, niż śmierci!“ — Oczywiście i inne armie owych czasów nie są instytucjami humanitarnymi: wszędzie władca kij i panują surowe kary. Prusy jednak doprowadziły do tego, że bodźcem wyczynów wojennych prostego żołnierza był wyłącznie i jedynie strach. Jest to pierwsza wielka i systematyczna próba urczywistnienia idei przemiany człowieka w maszynę. Ujęty w kluby karności oficerów i podoficerów, fryderykowski żołnierz przestaje być osobą o własnej woli, myśli i czuciu. Na placach ćwiczeń zostaje on zautomatyzowany, a celem tego nieubłaganego, przemysłowego drylu było osiągnięcie takiej dokładności i szybkości w maszerowaniu i strzelaniu, która przewyższyłaby szybkość wszystkich innych wojsk. Takie całkiem niezwykle wyniki należało osiągnąć u żołnierzy jedynie i wyłącznie przy pomocy strachu. Oczywiście, że człowiek zdegradowany do poziomu maszyny, miał już tylko jedno pragnienie: uciec z piekła placu ćwiczeń i koszar. I to było głównym zagadnieniem fryderykowskiego wojska. Zmechanizowanie

ludzi udało się całkowicie, ale jak utrzymać ich w kupie? Jak przeszkodzić ucieczce? Przestrzeń, w jakiej żołnierz mógł się poruszać z pewną swobodą była ściśle przepisana i ograniczona. Wszędzie stoją warty, które z kolei pilnowane są przez konnych żandarmów. — „Przy marszach przez las — nakazuje król w instrukcji — powinny przez miejsca zdrzewione jechać patroli kawaleryjskie. Nocą w obozie wystawiać wedety, namioty żołnierskie w nocy rewidować. Przy noszeniu wody i drzewa oficerowie prowadzą żołnierzy w rzędzie i szeregu“. W marszu mogą żołnierze załatwiać swe potrzeby naturalne tylko pod najsurowszym nadzorem, szeregami i na komendę. Takie oto i tym podobne są środki zapobiegające ucieczce, ale rzeczą główną jest strach. Biada uciekającemu! Środki odstraszające wyniósł Fryderyk na gigantyczną wysokość. Gdy ucieczka została dostrzeżona, za zbiegiem wyruszają patroli konne; wszystkie warty zostają powiadomione, wszystkie dzwony w okolicy garnizonu dzwonią na alarm. Ludność musi pomagać w chwytaniu dezertera, chłopci z cepami i z kosami zachodzą mu drogę. Schwytany zbieg podlega karze więzienia pod kijami. Trzystu żołnierzy z elastycznymi, w słonej wodzie moczonymi kijami, staje w dwóch szeregach naprzeciwko siebie. Przez utworzoną w ten sposób ścieżkę musi dezertier przechodzić z obnażonymi plecami całkiem wolno. Jego ręce są związane na plecach. Dwaj podoficerowie, jeden z przodu, drugi z tyłu ofiary pilnują, aby skazaniec nie robił kroków zbyt szybkich. Każdy żołnierz musi walić w gołe plecy ze wszystkich sił. Aby skazaniec był bity naprawdę, nad tym czuwają kaprale z kijami, chodzący tam i z powrotem za bijącymi. Jeśli chodzi o pierwszą próbę dezercji, to skazaniec musi zazwyczaj przejść pod kijami sześć razy, to znaczy, że otrzymuje 1800 pasków. Po takiej procedurze całe plecy są całkiem poszarpane. Przy powtórnej próbie dezercji zdarza się, że dezertier zostaje skazany na 12 albo 24 biegi pod pałkami. Gdy skutkiem upływu krwi pada omdlały, kładą go na słomie i biją dalej. Fryderyk sam dopilnowuje, aby z wyznaczonej kary nie zostało darowane nic. — „Gdy żołnierz bliski jest śmierci — nakazuje Fryc — należy z resztą kary poczekać, aż skazaniec zostanie nieco podleczony, a potem zacząć od nowa“. Niejaki Marufski, grenadier, obcina sobie dwa palce, aby uwolnić się z wojska. Wyrok starego Fryca brzmi: „Przepędzić draba 24 razy pod pałkami, a gdyby potem miał jeszcze żyć, skazać go na dwa lata robót przymusowych w twierdzy“. Dodajmy, że stary Fryc łapał swoich żołnierzy gdzie się dało. Była to szumowina ludzka, albo ludzie nieszczęśliwi. I oto wiemy teraz, kto i w jaki sposób wychowywał zwierzę ludzkie, tych esesowców tamtych czasów i kto był ideałem tych wisielczych kanali, które z sadystyczną rozkoszą znęcały się nad ofiarami Majdanów, Treblinek, Dachau itd.

W książce Tschuppika przeczytałem z przerażeniem, że Immanuel Kant, największy jakoby filozof, dzieło swoje zadedykował temuż Frycowi, podpisując się jako „jego majestatu najwinniejszy pies“. Zresztą i Hitler lubił upodabniać się do psa. „Ekscelencjo! — wdziękcył się do Kahra przed puczem swoim w 1923 roku — będę stał za panem wiernie jak pies“. Dziwne, jak ten człowiek zebrał o władzę, aby doprowadzić Rzeszę tam, gdzie ona się dzisiaj znajduje.

## CZASEM PATRZYŁEM NA MAPE...

Tak dziwnie pociągały te nazwy słowiańskie: Lubeka, Rostoka, Świnoujście, Szczecin, Neu-Strelitz, Lankwicz, Berlin, Nowawes, Slubica, Kottbus, Bautzen, Görlitz, Dresden, Meissen, Leipzig, Głochau, Zwickau, Plauen... „Odwiecznie niemieckie“ ziemie, **ur-deutsches Land**, no tak, ale nazwy słowiańskie i nazwiska ludności także zapewne słowiańskie i tylko z niemiecka sfonetyzowane. Co za leniwy naród, że w ciągu stuleci nie wymienił nazw słowiańskich na niemieckie! Każde ucho słowiańskie łatwo wyczuje za tymi nazwami sfonetyzowany Chociebuż, Budziszyn, Zgorzelec, Drzeżany, Miśnia, Lipsko, Głuchów, Cwików, Pławno itd. Bo przecie dla Niemca Lubeck, Rostok, Swine, Stettin, Strelitz, Lankwicz i nawet Berlin nie znaczy nic jako określenie, jak nie znaczą dla niego nic wszystkie nazwy miejscowości na Śląsku, począwszy od Breslau. W nazwie Wrocławia słyszymy coś jakby powrót, zwrot, miejsce, gdzie się zawraca, ale Breslau?

Tego, co było takie **ur-deutsch** nie zmienili nawet powierzchownie, ale teraz zabrali się do niemieczania nazw miejscowości, które samiz uznawali za czysto polskie. Od roku 1942 zaczęli wydawać periodyk „Rzemiosło“, w przekonaniu, że podają rzemieślnikowi polskiemu jakieś objawienie wiadości. Pismo wychodzące w języku polskim miało nagłówek: „Numer 3, rocznik 3, Krakau, dnia 5 lutego 1944 r. Czasopismo Grupy Głównej Gospodarki Przemysłowej i Ruchu przy Izbie Centralnej dla Gospodarki Ogólnej w Generalnym Gubernatorstwie Rzemiosło (Gazeta okręgowych grup **Krakau, Lemberg, Lublin, Radom i Warschau**)“. Czyż to był dowcip, nie wiem, ale że z niemiecka ciężki to

się rzucało w oczy. Na taki koncept nie wpadłby ani Francuz, ani Anglik, ani Szwed. To jest **echt deutsch**. Na co się tu liczyło? Żeby zirytować czytelnika polskiego? O ile wiem, rzemieślnicy byli zmuszeni do kupowania tego paskudztwa niemieckiego, ale się w nim nie rozczytywali. Czy może chodziło wynalazcy niemieckiemu tej metody o to, aby Polak przywykał do nazw niemieckich aż wrzeszczą wspomni, że Warschau zwała się Warszawa, że Scharffenwiese była po prostu Ostrołęka a Krakau to był sobie Kraków.

Irytowało to oczywiście, ale zarazem świadczyło o tak kolosalnej głupocie, iż było nie tylko pocieszne, ale i pocieszające. Z takimi bałwanami damy sobie radę. Jeszcze pocieszniej brzmiały nazwy miejscowości Śląska Cieszyńskiego. Gdy się dostawało listy od przyjaciół z Końskiej, z Puńcowa, z Cieszyna, z Jablonkowa, to można było boki zrywać nad pranie niemieckimi nazwami tych miejscowości, które się nazywały Konskau, Puntzau, Teschen, Jablunkau, Wadowitz, Dzingelau (Dziegiełów) itd.

Wszystko to jednak jest niczym w porównaniu z tym, co ci kawalarze biurokratyczni wyrabiali w Czechach. Nie wolno było używać prastarych nazw czeskich dotyczących miejscowości niemieckich i stopni wojskowych. Np. zamiast Videň i wiedeński (Wiedeń i wiedeński) kazali Niemcy używać stale Wien i wieny. Nie wolno było pisać jak dotąd, że coś się stało w Berlinie, ale w **Berlinu**. Prusy nazywały się po czesku Prusko (jak Rusko, Polsko, Rumunsko itd.). Niemcy nakazali pisać i mówić **Preussen**, a gdy chodziło o pruskiego żołnierza, to nazywał się on nie jak dotąd „pruski wojskowy“, ale „preussenski wojskowy“. Chciało się rzygać od tej niemieckiej urzędowej czeszczyzny, tak haniebnie i bezkarnie plugawionej przez barbarzyńcę. Dopóki było można, przyjaciele czeszy przysyłałi mi sporo książek i czasopism swoich. Ale książki były jakieś neutralne, omijające sprawy najżywniejsze i najaktualniejsze. Czasopisma roily się od artykułów niemieckich, prawdopodobnie nakazanych. Przecie pan protektor Neurath napomniął duchownych czeskich, aby w dzień Zmartwychwstania Pańskiego unikali pod groźbę kary wszelkiej symboliki w swoich kazaniach. Ale gdy patrioci czescy zlikwidowali jednego z najwziętszych lotrów hitlerowskich, Heydricha, delegowanego do Czech dla wymordowania patriotów, wszystkie pisma nie wyłączać literackich, musiały na pierwszej stronie zamieścić portret tego masowego mordercy i zbrodniarza, a na stronie następnej jego życiorys i „zasługi“. Portret przedstawia jakiegoś typowego Haarmanna czy Kürtena czy też wampira z Düsseldorfu o wąskich jakby zezujących oczkach, zacienionych ustach, paskudnym nosie i rysach lustmördera. A tekst roi się od takich słówek jak „Obergruppenführer“, „Reichsführer“, „Standartenführer“, „Oberführer“ itd. Kończy się ten wyszantażowany artykuł biadoleniem nad „wielkim zmarłym“. Wielkim zmarłym mordercą, zbrodniarzem, lustmörderem, tak, ale niczym innym.

## RAUSCHNING, FOERSTER, HEIDEN, OLDEN...

Ciężka lektura. Niemcy, nawet ci przeciw-hitlerowscy emigranci, nie umieją pisać. Zawsze spod ich piór wychodzi książczydło wielkie, ciężkie, źle ilustrowane materiałem i zachwaszone dygresjami, które nie zawsze przekonywają, często nudzą. Jakże im daleko do zgrabnych tomików francuskich, które i przeczytać łatwo i zapamiętać nie trudno. Fakty i fakty, tu i ówdzie uwaga. Czytało się to ciężko i dlatego, że w dniach gorących — ileż ich było podczas tej potwornej okupacji! — trzeba było mieć się na baczności i ukrywać takie jawne dowody wrogoci wobec Niemców, którzy mieli pretensje do naszej miłości, szacunku i Bóg wie czego tam jeszcze. Najlepsza była książka Foerster, bo dostarczała masę materiału i tekstów ciekawych, ale i on nie oparł się niemieckiej skłonności do gruntownych rozważań Heiden w dwóch wielkich tomach nie umiał zachować proporcji między obszernością tekstu a groteskowością patetycznej postaci „führera“, osobnika zdecydowanie chorego na wyjątkowo ciężkie megalomanstwo i gloriomanię. Widać to na obrazkach książki Oldena. Jak ten Hitler wdziękcył się do tych wszystkich Ludendorffów, Hindenburgów, Kahrów, Lossowów, aby mu przecie dali też trochę porządku, **poręgować**, popanować, powyrzynać przeciwników własności jaśnie państwa! Będzie taki wierny, taki oddany, taki nawet grzeczny. Tylko niech mu dadzą sposobność do urczywistnienia zapowiedzanego trzeciego Reichu i tej wielkiej cywilizacji, jakiej jeszcze nie było!

I raptem rozkosz wielka! Jakoś nawinęła się pod rękę cała „Saga Forsythów“ Galsworthy'ego. Serce i umysł mogły obocawać z wielkim pisarzem i z jego postaciami. Można było zapomnieć na jakiś czas o tych paskudnych niemieckich słowach jak Luftwaffy, Vollerfery, Panzery U-Booty, Verboty, Arbeitseinsatz, Flakk, Sturmkolony, Zahlungsbeshceidy, Ausweissy, Bekanrtmachungi itd. itd. Cudowne chwle spędziłem z tym pi-

sarzem angielskim. A potem całego Boya od a do z, i listy Przybyszewskiego, i Strindberga, osobliwe „Inferno“ i jeszcze raz to samo i znowu przy sposobności. Wiem, że do tego „Inferna“ będę wracał dopóki będę żył. A jak cudownie robiła gazeta z epoki ludzkiej — arcyłudzkiej, zanim pojawiły się te oberföhrrery i oberkelnyry z pretensjami do panowania nad światem. Stary numer pisma literackiego, stary zeszyt „Nouvelle Revue Française“, „Wiadomości Literackie“ z dobrym dowcipnym artykułem Boya, „Sygnały“ z wesołym wierszem Hollendra, „Marianne“, nawet stary numer „Kina“ z piękną ludzką twarzą Gary Coopera. Jak dobrze robił widok takiej ładnej twarzy po tych pokracznych małpoludach w mundurach, stylizowanych czapach, dęciakach stalowych i z całą tą aparaturą negrów europejskich.

Ale nagle zabębniło, zadudniło, rozwrzeszczało się... Z okna widać na dziedzińcu szkolnym tłum pętaaków z bębniami. Hitlerjugend bębni, wrzeszczy, maszeruje, uczy się żołdactwa. Potem idzie na miasto, żeby podemonstrować trochę, a jej miejsce zajmują deusche Mädlel. Znowu maszerowanie, tańce, śpiewy z podniesionymi rękoma. „Deutschland über alles“ i Horst Wessel z tym plugawym „brobrychem“ (der Tag für Freiheit und für Brot bricht an — Niemcy wymawiają „brobrich“). Cóż to był za poeta zaiste huński. który nie umiał wyczuć paskudztwa nagromadzonych gardłówek. Potem czap-czap-czap... Co to? Szkopy... Żandarmy czy jakieś inne esesy. Przywykliśmy. Zrazu było niemiło jakoś pomyśleć, że zaraz przyjdą, zabiorą i rozprawią się po swojemu. Potem to przeszło. Została tylko ta jakaś odraza i lęk, że jednak z wcześniejszego człowieka może się jutro stać **Schweinhund**, jak brzmi ten termin niemiecki.

## I BLÜCHERA TEŻ CZYTAŁEM

Paskudny dziadyga, który nie umiał napisać parę słów poprawnie po niemiecku. Układa zdania jakby walił pałą w coś co skrzeszy i piszczy. Pisze dużymi literami przymiotniki i nawet słowo Majestädt pisze bardzo rozmaicie: Majästädt, Majestät, Magistädt, Majestädt, Majestad... Nagłówek listu jego do króla brzmi „Aller dorgltautigster König aller gnedigster König und Herr“. Chciał oczywiście napisać „allerdurchlauchtigster“ i „allergnädigster“. W ogóle cały list świadczy, że mu daleko łatwiej tłuc kogoś szabłą, niż napisać parę słów, jak Hitlerowi łatwiej było zdobywać świat dla 250 milionów Niemców, niż namalować znośny obrazek, który uwolniłby go od kompleksu niższości.

I takie właśnie Blüchery, Goeringi, Goebbelsy, Himmlery sięgają po władzę nad światem. Stykałem się na Śląsku z ludem polskim i cieszyłem się zrazu, że po stuleciach niewoli ten lud nie zapomniał języka polskiego, ale potem spostrzegłem, że ten lud został przez Niemców zdegradowany, że biedny stary Ślązak nie odważał się równać siebie z tymi oprawcami, którzy przez stulecia odzielali go systematycznie z jego dorobku i „dorabiali się“ na jego pracy milionów, jak te wszystkie Plessy i Donnersmarcki, których „własności“ twórca narodowego socjalizmu bronil tak zaciekłe, aż się od tej zaciekłej obrony z hałasem i trzaskiem zawalił sławetny trzeci Reich, mający trwać co najmniej 2000 lat! A co zrobili ci oprawcy dusz ludzkich z Mazurami naszymi, o tym przekonają się dopiero nasi działacze, gdy obok zburzonych wsi i miast zaczną odbudowywać te skrzywdzone, straszliwie zdegradowane i poniżone dusze braci naszych.

Przez cały czas potwornej okupacji nie przestawałem szukać książki, która by mocą swoją wewnętrzną i formą zewnętrzną odpowiadała chwili. Aby utrwałała w duszy upór, aby w razie potrzeby ułatwiła śmierć w stanie niezachwianej wiary, że jednak to szalejące zwierzę, ten pokraczny „herrenvolk“ o duszy wybitnie lokajskiej, zostanie ujarzmiony, zrzucony na kolana i pouczony środkami jedynie zrozumiałymi dla niego, że gdy się jest szakalem i hieną narodów, to można być traktowanym jako szakal i hiena. Takiej książki, przyznam się nie znalazłem. Dobrze robiła mądrość Mickiewicza: „Krzyżackiego gadu nie ugłaszcz...“ W tym piekle, w które wtrącił nas siła zwierza apokaliptycznego i niezliczone winy Europy, nie wyłączając naszych własnych, potrzebny był inny język, niż ten, którym mówi konwencjonalna estetyka i jeszcze konwencjonalniejsza moralność. Za bardzo chcieliśmy być wyłącznie sobą, jak zresztą każdy inny naród europejski, za mało usiłowaliśmy zrozumieć, co się dzieje w duszach i umysłach tych, co sięgali po panowanie nad światem, i tych, co tym usiłowaniom zapobiec mogli i zapobiec byli winni. Dla nas wolność znaczyła tyle co równe prawa i równe powinności, dla Niemca wolność znaczyła zawsze wolność mordowania i łupienia innych, słabszych od niego, bezbronnych. Musimy się przeistoczyć. To straszliwe piekło pięcioletniej niewoli niemieckiej musimy przerobić w nowe treści i nowe formy, aby potomek nasz w chwili ciężkich doświadczeń znajdował w pozostałej po nas literaturze więcej siły i mocy, niż myśmy jej znajdowali po naszych przodkach.

ROMAN KOŁONIECKI

# Wspominam ghetto

19-go kwietnia minęła druga rocznica wybuchu powstania w getcie warszawskim, zainicjowanego przez Żydowską Organizację Bojową pod dowództwem komendanta Anielewicz. Po długich dniach oporu, po dniach bohaterstwa, przepłatanych na przemian godzinami rozpacz i nadziei, powstanie upadło. Trudno byłoby komukolwiek ustalić dokładną datę upadku getta i chyba nigdy już się nie dowiemy, kiedy wygasł ostatni pożar, kiedy rozsypany się w gruzu ostatni skruszony ogniem artylerii niemieckiej dom, kiedy padł ostatni obrońca świata wolności i sprawiedliwości. Któregoś dnia mury, otaczające dotychczas kotłownię gorączkowego, w przeddzień katastrofy stokroć jeszcze zwielokrotnionego życia, stały się nagle murami cmentarnymi.

Nie wiadomo, czy leżą gdzieś jeszcze pod gruzami zwłoki poetów, pisarzy i artystów, zamkniętych ongi w getcie, czy też żywi wyruszyli oni stąd kolejno w przymusową podróż do Treblinki, Majdanka, Oświęcimia, Bełżca czy Sobiboru — siedlisk przemysłu śmierci, do komór gazowych i krematoriów. I dlatego, że nie można tego stwierdzić, każdy z nich posiada w naszej pamięci po kilka mogił na raz, jednakowo czczonych i równie często nawiedzanych. Na nagrobkach znajdzie się wiele nazwisk znanych i nieodżałowanych. Zginęli w getcie albo przepadli bez wieści: Janusz Korczak — wielki pisarz, nauczyciel i opiekun maluczkich; Bruno Winawer — dramaturg i krzewiciel najnowszych prawd o świecie i o człowieku; Franciszka Arnsztajnowa — poetka i działaczka, odznaczona orderem Polonia Restituta i Krzyżem Zasługi; poeci: Mieczysław Braun i Henryka Łazowertówna; przyjaciel Szaloma Asza i Józefa Opatoszu — Maurycy Szymmel; Rafał Len, po którym zostały próbki rzeczowej i skupionej prozy; Alfred Fei — młody krytyk i historyk literatury; Jakub Bleiberg — spinozista, cytujący na wrywki wielki i zawily opus swego mistrza w zakonie mądrości; Alfred Schorr — ciekawie zapowiadający się socjolog; wybitny malarz Roman Kramsztyk, pianista Aleksander Landau i tyłu, tyłu innych.

W ciągu trudnych lat próby i znaków zbliżającej się nieuchronnie zagłady gościłem w getcie niejednokrotnie. Odwiedzałem tam przyjaciół i bliższych znajomych, wymieniając z nimi książki i serdeczne relacje o powszednim bytowaniu wojennym; wieści ze świata — wszystkie równie mało pocieszające — przynosiły im radioodbiorniki będące w posiadaniu licznych komórek organizacji podziemnych, które i wewnątrz getta nie próżnowały. Z legitymacją inkasenta elektroni i z banknotem dwudziestozłotowym, zastępującym dokument pracy, bez którego legitymacja była nieważna — podchodziło się do „waczy“ na Nalewkach. Tuż przy bramie Ogrodu Krasinśkich. „Wacha“ przepuszczała tamtędy na ogół bez trudności. O krok za budką wartownika, jak o setki kilometrów od Warszawy, zaczynało się inne, cudzoziemskie, niemal orientalne miasto. Nie jaskrawość ubrań przechodniów i nie egzotyzm architektury tak oddalał warszawskie ghetto od Warszawy, lecz gwar podobny do zgłębku arabskich bazarów, zatłoczenie ulic i podwórek, a przede wszystkim ilość i intensywność pełnych zdumienia spojrzeń, rzucanych na przybysza bez opaski z niebieską sześcioramienną gwiazdą Dawida na rękawie. Wozy tramwajowe, przejeżdżające niektórymi ulicami getta, witane były takim samym wyrazem zdumienia — przechodnie na chwilę nieruchomieli z wrażenia, jakby ich mijał pociąg, spieszący do dalekich i nieznanych miast.

Otwarte walizki, umieszczone na taboretach wzdłuż trotuarów, stragany na kółkach i zwykłe deski, rozłożone na kozłach, zastępowały teraz dawne okazałe hurtownie i sklepy, które stały pustkami albo spełniały funkcje zwykłych mieszkań. Towary wszędzie pochowano, przed okiem walejącego się mundurowców, do jak najchytřej obmyślanych skrytek; handel jawny, tarasujący coraz to w innych punktach i chodnikach i jezdnie, obejmował tylko tandetę i drobnicę. Ale nie tylko to świadczyło, że ghetto z dnia na dzień ubożeje. Takiej ilości zebrań, kalek, ludzi chorych albo bezdomnych nie było w Warszawie nigdy, w żadnym zaułku najbardziej zepszonego z przedmieść. Tu zapełniali ulice, stojąc, siedząc czy leżąc w małych, równych niemal odstępach pod murami i na skrajach chodników; środkiem zaś, gdzie płynęła najgęstsza fala ludzka, kluczyli ci najruchliwsi, najkrzykliwsi, najnatarczywsi, chwytający przechodnia za rękawy i klapy kurtek, za poły płaszczów i rąbki spódnic. Z prawa i z lewa, w odległości metra czy półtora, ciągnął się za idącym Karmelicką czy Leszmem nieprzerwany korowód nędzarzy.

Takie straszliwe wystawy ułomności i uposiedzenia ciała, kalectw mowy i wykołosań umysłu urządzają chyba tylko miasta Lewantu. Każdy z owych nędzarzy prezentował osobliwą, jedyną atrakcyjność swej nędzy z bliska i natarczywie: głuchoniemi atakowali uszy swym wibrującym bełkotem; beznodzy zahaczali o kolana swymi tępymi kikutami; chorzy umysłowo wprost paraliżowali wyszukany bogactwem swych pozadiagnostycznych środków ekspresji; byli i tacy, którzy po prostu coś śpiewali, powtarzali

monotonnie stereotypowe wezwania do przechodniów, albo tylko jęczyli. W osaczającym zewsząd natłoku tych homunkulusów i upiórów nie zwracało się prawie wcale uwagi na ludzi normalnych, normalnie ubranych, którzy pojedynczo lub grupami przepychali się w określonych kierunkach. Jak gdyby byli koloru powietrza. Lawirowali obojętnie wśród tłumów, jak pomiędzy mackami jakiegoś głębinowego potwora, albo klnąc napierali na bezwładną masę ciał, paczek, skrzyń, koszów i kramów.

Stosunkowo dość późno zbudowali Niemcy drewniany „most wiszący“ przy zbiegu Żelaznej i Chłodnej, który połączył „małe“ ghetto z „dużym“. „Małe“ — to była ta część dzielnicy żydowskiej, która, gdy się patrzyło od strony kościoła św. Karola Boromeusza, leżała po lewej stronie Elektoralfnej i Chłodnej. Przedtem trzeba było tutaj całymi godzinami wyczekiwać na rogu na możliwość przejścia w poprzek przez Chłodną, bo dyżurnicy tu posterunkowi, najwyraźniej głęboko przekonani o wyższości rasy aryjskiej nad semicką, oczywiście kierowali rytmem dwóch krzyżujących się rzek ludzkich zgodnie z tym przekonaniem, nie budzącym w nich wątpliwości. W małym getcie odbywał się wszędzie taki sam jarmark tandety i produkował swe sztuki taki sam cyrk nędzy. Ale w tej części mieściły się także ulice spacerowe, gdzie mieszkała burżuazja i plutokracja. Do liczby takich ulic należała np. i Sienna.

Tu gdzie niegdzie były jeszcze domy, w których każdy lokator miał dla siebie osobny pokój, podczas gdy pozostała część getta gromadziła w byle norze ciasnej, wilgotnej i ciemnej po tuzinie albo i więcej szczątkowych okazów rodzaju ludzkiego. Tu także, w obszernych mieszkaniach prywatnych, czynne były jaskinie gry, gdzie wytrawnych rozkoszy hazardu zażywali dawni bywalcy kasyna w Sopotach. Tu w przestronniejszych oficynach i lokalach służbowych różnych pozwyjanych biur funkcjonowały na poły zakonspirowane restauracje i kawiarnie, gdzie można było dostać wszystkiego, czego dusza zapagnie. Tam co wieczór odbywały się występy artystów; programy zawierały nieraz podobno po kilkanaście urozmaiconych numerów, wśród których figurowały nawet popis całej baletów na poziomie wcale nieźłej pornografii paryskiej. Tu dawały regularnie spektakle kabarety literackie, lansujące aktualne szlagiery i nowych ulubieńców publiczności... Słowem — istniały w getcie środowiska, które uciążliwy przymusowy tryb życia rekompensowały sobie w dwójnasób doborem dostępnym w takich warunkach rozrywek i korzystały z nich bez trosk w łunie Danielowych grób. A opodal rojne ulice pełniały niezmordowanie, jak olbrzymie pstręki, a w isticie bydlęcych kojachs tysięcy przygodnych ruder pleniła się bujna fauna i flora nieszczęścia.

Mieszkanie rodziny moich przyjaciół na Siennej było oazą wywiczzonego spokoju, skupienia, ładu. Na całej przestrzeni Leszna, Żelaznej i Siennej nie ocalało ani jedno drzewo, które jako kalendarz natury wskazywałoby choć porę roku; tu, w skrzynkach na balkonach, kwitły fuksje i pelargonie... Ich widok zastępował spacer po Łazienkach, alejami Ogrodu Saskiego albo Parku Skaryszewskiego na Pradze. Ale i do pokoju, w której atmosfera odosobnienia, wdzierająca się gwałtem okropna ulica getta. Przychodziłem z odwiedzinami na Sienną dość często, więc zdołałem się nauczyć na pamięć jej życia, repertuaru jej codziennych spraw, jej zwierzeń, próśb i rojeń. Bo za każdym razem powtarzało się niemal to samo.

Jest wczesnojesienne popołudnie. Od pół godziny wyje za oknami spuchnięta zebraćka (naprzeciwko jest tzw. „zamożny dom“): „Ludzie, pięć groszy, tylko pięć groszy!“ A potem skowyczące „O, jej...“ I znów: „Ludzie, tylko pięć groszy...“ Przed chwilą do akompaniamentu przybyły dwa nowe głosy. Znam je. To dwoje dzieci. Śpiewają dziwną piosenkę. Zaczyna się: „Cztery mile za Warszawą...“, ale dalej jest nie o weselu dudka z pawą, tylko o jakimś złym ojcu, któremu dzieci proponują różne rodzaje samobójstwa. Starsza siostra przynosi po kolei to nóż, to topór, to sznur: „Powieś się, ojczu, powieś się, ojczu...“ „Zabij się, ojczu, zabij się, ojczu...“ Śpiewacy mają po dziesięć lat.

Wiem z góry, kto się jeszcze będzie dziś „produkował“. Będzie jeszcze chłopiec, skrzeczący godzinami w jednym miejscu: „O, rachmunes...“ („Daj jałmużnę“), i dziewczynka z „O, Mieję litość...“ („Mieję litość“), i coś małego, niewidomej płci, ze swoim „Warf a rup a szyteke brojt...“ („Rzuć na dół kawałek chleba“). Będzie dwóch braci — potwornych opuchlaków, którzy tylko jęczą. Nogi — czerwone kłocze z wielkimi bąblami, jak od oparzeń, i twarze jak u kałmuków: żółte, baniaste policzki, w których oczy po prostu giną za spuchlizną. Będzie starucha, czołgająca się po jezdni na grzbiecie. Będzie przemily, może siedmioletni „orator“ z wielkim koszykiem, taszczącą za rękę trzyletniego braciszka z owiązaną głową.

Oracja jego jest nieodmiennie taka: „Szانونne, kochane państwo, zlitujcie się na te dwoje małe, biedne dzieci, rzućcie kawałek chleba, rzućcie kruszynkę chleba, albo

stare skórki od chleba, albo jeden kartofel. A za to państwo nigdy nie będą głodne i nigdy nie będą potrzebowali prosić. Szانونne państwo, rzućcie kawałek chleba na te dwoje małe, głodne dzieci“. I znów — chłopiec, dwunastoletni: „Idysz kindoch, ich bej-te“ („Ja proszę“). I dwa szkielety — dwie rude suchotnicze dziewczyny. I ojciec z dwojgiem (potem z jednym, bo drugie umarło) dzieci. I matka — smagła, kruczowłosa z czarniutkim ślicznym dwulatkiem. A potem, po zamknięciu bramy, jakiś potwornie pokrzywiony kaleka chłopak, z rękami długimi jak mała, z nogami gołymi aż do nasady (nosi tylko „kapielówki“ i strzęp koszuli).

A potem, w nocy i o dziewiątej rano, będzie „panna Marysia“. Panna Marysia ma dwadzieścia parę lat i podobno maturo. Ma czysty, dźwięczny, miły alt. Ma matkę staruszkę i malutkie mieszkanko gdzieś tu w pobliżu. Poza tym nie ma nic więcej, tylko spuchnięte nogi i lekkie pomieszanie zmysłów od pół roku. Śpiewa: „Gdy odjeżdżałem...“, jeszcze jakiś szlagier, i — „Umówiłem się z nią na dziewiątą“. Potem prosi o stare skórki od chleba. Kiedy szlagiery nie pomagają, śpiewa jeszcze o zburzonym domu i „Podaj mi dłoń“ (przypuszczam, że to utwór własny). Zaczyna się tak:

Siostró, życie nikczemnie  
Uderzyło mnie w skroń,  
Och! nie odchodź ode mnie,  
Tylko podaj mi dłoń.

Taka jest ulica, oglądana tylko z okien — i to „najelegantsza“ ulica. A gdy się wraca „do Warszawy“, trzeba poznać i tę, przez którą przeciskać się należy czujnie i bacznie, bo „na kłamce tramwajowych drzwi może być zarazek świerzb, a na ubraniu wymyjanego przechodnia — wesz“. I tę, gdzie pod murami domów, w kałużach własnego moczu siedzi — według danych statystycznych gminy — dwu- i półtysięczna rzesza zebrających dzieci. I tę, gdzie wala się bezimiennie trupy głodomorów nakryte papierem i czekają cierpliwie, nieraz po dwa dni, aż zaabsorbowany czarny wózek rowerowy wywiezie je do wspólnego dołu. I tę, gdzie — jak wszędzie — trwa handel starzyzną — tysiącami przysłówiowych „ostatnich poduszec“, spracowanych spodni, bezużytecznych i najmniej popłatnych sukien wieczorowych, a także starą porcelaną — ślubnymi serwisami, tyloletnią radością oczu i serca, gdzie każde starte złocenie, każda najdrobniejsza szczerba wiąże się z tysiącami wspomnień. Są tu także srebrne i miedziane lichtarze, w których jeszcze ręka babki zapalała świece sobotnie, które jak relikwie przydzwigało się tu za sobą z małego miasteczka po to, by wymienić je teraz na bochenek chleba czy lekarstwo. Są i sterty żelastwa: kłamki, kłódki, klucze, zawiasy, gwoździe, śruby — kradzione, rabowane ze zburzonych domów, wykopywane godzinami spod gruzów, wygrzebywane małymi rękami dzieci, wykęcane ze schodów, ubikacji podwórzowych, instytucji publicznych...

Tak wygląda film getta.

Ten niezliczony szereg „obrazków rodzajowych“, jakie podsuwa co dzień pod same oczy „pryncypalna“ ulica getta, wywołuje w widzu odruchy sentymentalne i doraźne gesty miłosierdzia. Ale owa ulica śpiewająca od rana do nocy o strasznej swej nędzy, to za mało. Żeby się naocznie przekonać o rozmiarach klęski społecznej, o przyrodniczej niemal żywiołowości tej katastrofy, jaką pociągała za sobą zawiązanie getta — trzeba się znaleźć choć na krótko w ośrodkach zbiorowej pracy, usiłującej żywić i uczyć się przetrwać. Organizacja „Dżojnt“, a po jej rozbięciu przez Niemców — Żydowska Samo-pomoc Społeczna, próbowała spełniać tę rolę, ale skutki jej wysiłków stały się coraz bardziej niewspółmierne z ogromem potrzeb, z roszczeniami owej ulicy, która wlewała się wszędzie — jak powódź, — owej ulicy, która długimi kolejkami obdarta i wyszarz wystawała jako petentka przed każdym biurkiem instytucji dobroczynnych, przed każdym stołem gminnych punktów wyżywienia. Milcząc za zawstydzeniu, bo przecież „my jeszcze nigdy nie prosiliśmy...“, albo skomlała żałośnie długie litanie wszelakich nieszczęść, albo bezczelna, z krzykami i wyrażaniem: „Co to znaczy: nie ma? Musi być! Przecież zbieracie dla nas, przecież wam dają, przecież różne dopłaty, daniny... Kradnicie — wszyscy kradnicie, dyrektorzy i urzędnicy!“

Spoza balustrady, z surowych, chropowatych desek, pochyleni nad papierami i remingtonami urzędnicy oglądają ciągle ten sam film getta, tylko jakby w innym tempie, na taśmie innego koloru. A więc, na przykład, staje przed nimi jedna Chawa, która swoją niezmordowaną zapobiegliwością przypomina nieśmiertelną Chawę Rubin Świętochowskiego. Zylł dostatnio w małym miasteczku w Wielkopolsce, mąż szył „bryczesy“ dla panów wojskowych, dzieci przybywało. Potem wędrowka: Leszno—Łódź—Warszawa. Potem mąż pojechał „na tamtą stronę“ i słuch o nim zaginął. Chawa ma dwadzieścia osiem lat i czworo dzieci: cztery, sześć, osiem, dziesięć lat. Mała dziewczynka bije ją po twarzy, kiedy jest głodna. Drugie z kolei dziecko choruje z wilgoci na astmę. Najstarszy, Maryś (wszystkie dzieci mają ładne, polskie imiona) trudnił się handlem ulicznym, szmugłem; teraz udało się wpakować go do sierocińca. Czasem dzięki jakiejś protekcji (Chawa ma prawdziwy talent do znajdowania protekcji) udaje jej się dostać dziesięć złotych. Czasem trochę produktów — minimalne ilości. Resztę pokrywają wyprzedawane łachy. Ale łachy „kończą się“. Co dalej?

Albo ta matka. Jeśli ktoś zechce rzeźbić żydowską Niobe — model gotowy. Dzieci czworo. Najstarsza, dwudziestoletnia gorseciarka żywiła całą piątkę. Teraz zjada ją gruzlica, ją, najlepszą, najukochańszą córkę, która — niemal jak w noweli Orzeszkowej — szyla po nocach staniki przy 39<sup>o</sup> gorączki. I matka rozpacza. Staje przed stołkiem urzędniczkim i zaczyna od przepraszania. Żeby tamta się nie przejmowała, nie martwiła. Bo jej przykro, że tamta się martwi. I jeżeli tamta nic nie może zrobić — to trudno, to ona cicho odejdzie, ona nie będzie przeszkadzać. A jeżeli tamta coś może — to, mój Boże, ona do śmierci nie zapomni, ona się odwdzięczy. I błaga, żeby przyjąć od córki „prezent“ — jakieś kawałeczki atlasu, jakieś ramięczka, klamerki do podwiązek. Może się przykro do naprawy: to nowe, czyste. A może tamta da jej coś do reparacji, córka wstanie na godzinę, zrobi, będzie szczęśliwa, że może się przyszywać. Kiedy zaś dostanie pięć albo dziesięć złotych (nie częściej niż raz na miesiąc), prosi o radę: co za to kupić? Nie dla siebie, broń Boże, chociaż nogi już do pasa spuchnięte, ale dla niej, dla córki, żeby jej smakowało, bo chora grymasi, żeby było zdrowe i smaczne. Bo tego chleba, co go dostała w zesłym tygodniu dla całej rodziny, to córka nie może jeść, więc ona go sprzedała i kupiła parę bułek... Węc robi do spółki z urzędniczką „budżet“ i ustala ją zakupy, i tamta dodaje jej dwie kostki cukru od siebie, a ona za nic nie chce przyjąć, i obie wraz z tamtą są bliskie płaczu, aż wreszcie starym, wypróbowanym żydowskim sposobem tamta musi się zakląć „na własne zdrowie“, żeby przyjęła. A potem znów podziękowania, i łzy, i przysięgi dożgonnej wdzięczności. A ze strony tamtej prośby, żeby znów przyszła, żeby się nie krępowała — i przyrzeczenia, że tamta „nie będzie się martwiła“.

I jeszcze jedna z kolekcji. Nikt jej nie lubi. Wszyscy w zniecierpliwieniu rugają, bo jest natrętna i nudziara. I trochę boją się jej także, bo czystość jej jest wstęplawa. Robotnica łódzka, trzydziści lat, ćwierćinteligentka. Miała „na własność“ „Zmartwychwstanie“ Tolstoja i bardzo cierpiała moralnie, kiedy musiała je sprzedać za parę groszy. Bo jak to: sprzedawać książkę? To urzędnika ujęło — dzieje tej jednej, jedynej własnej książki, unoszonej w drogę w plecaku tułaczki... Ale, niestety, poza zwykłą jałmużną nie ma on możliwości pomóc tej Esterze. Jej natarczywość i wygląd zraziły wszystkich bez wyjątku, woźni przeganają ją, kierownik katogorycznie odmawia urzędowej jałmużny — bo czymże innym są w gruncie rzeczy ZSS-owe zasiłki? Odchodzi, zwymyślana przez wszystkich, nastraszona, że się ją „rzuci ze wszystkich schodów“, poucza, że starania ma prowadzić drogą oficjalną, nie przez centralę — i za parę tygodni jest znowu. Wraca jak zbity pies, a jej twarz, na której tygodnie rzeźbią się piętnem lat, jej gołe palce, wyziarające ze śniegowców, które o każdej porze roku zastępują jej buty, znów uderzają w serca bolesnym wyrzutem. Któregoś dnia już więcej nie przyjdzie i wszyscy odetchną. Ale wtedy, jak uporczywy koszar, zacznie odwiedzać ich w snach, a stamtąd nie będzie jej można wyprosić przez żadnego woźnego...

## Muzycy ZSRR w Polsce

Ostatnie tygodnie życia muzycznego w Warszawie, Krakowie i Łodzi stały pod znakiem koncertów radzieckiej ekipy koncertowej. Koncerty te były dla nas pod każdym względem sensacją. W pierwszym rzędzie dlatego, że muzyka sowiecka i wszystkie jej osiągnięcia są dla naszej publiczności, i nawet dla naszego świata artystycznego, zupełnie nieznanymi. Tylko nieliczni z nas mogli się z nią zapoznać nieco bliżej we Lwowie w latach 1939—1941; reszta znała tylko poszczególne jej przedstawicieli najmłodszego pokolenia, biorących udział w konkursach pianistów i skrzypków w Warszawie w ostatnich latach przed wojną. Przedstawiciele ci byli wszystkich swoich kolegów z Zachodu, biorąc przeważnie pierwsze nagrody. Ale przy fantastycznej wprost organizacji, o jakiejś dochodzącej nas słuch (system eliminacji narzód w poszczególnych konkursach, potem w wyższych grupach, wreszcie na konkursie wszechzwiązkowym) nie można było stwierdzić, czy mamy na tych konkursach do czynienia tylko ze szczytami sowieckiej sztuki wykonawczej, której osiągnięcia zależne były w pierwszym rzędzie od wyjątkowych uzdolnień indywidualnych, czy też osiągnięcia te zdobyte zostały ogólną dyscypliną stosowaną w metodzie pracy i w pedagogice artystycznej.

Obecne koncerty ekipy radzieckiej przekonały nas, że nie mieliśmy do czynienia z jakimś indywidualnym, wyjątkowym zjawiskiem, lecz że zjawiska te były normalne w dzisiejszej muzyce sowieckiej. Zarówno znany już dziś powszechnie pianista Gilels, jak skrzypczak Barinowa, jak wreszcie i śpiewak Gamrekel są niewątpliwie wszyscy niezwykle uzdolnionymi muzykami o świetnych warunkach, ale to nie jest ich największym walorem: jest nim w pierwszym rzędzie — opanowanie rzemiosła. Opanowanie to zaczyna się u nich w sztuce wydobycia samego dźwięku, która sięga do prostu granic doskonałości (dotyczy to oczywiście przede wszystkim instrumentalistów). Wszystkie przeskody mechaniczne, stojące między artystą a jego instrumentem, zostają tu tak dalece przyczyszczone, że cały ten problem staje się w ogóle nieistotny, lekkość w dotknięciu struny smyczkiem czy też klawiszu ręką pianisty robi wrażenie prawie czegoś niematerialnego. Cechę tę posiadają w najwyższym stopniu wszyscy spośród znanych nam wykonawców sowieckich, nawet akompaniatory, których skromna stosunkowo rola trzyma z dala od wszelkich zakusów wirtuozowskich (Makarow i Stuczewski). Dzieje się tak, że ograna i normalnie mało interesująca „Campanella“ Liszta staje się pod palcami Gilelsa rewelacją pod względem bogactwa barw dźwiękowych, koncert skrzypcowy Mozarta arcydziełem stylu i dobrego smaku, a fortepianowy koncert Czajkowskiego pierwszorzędnym osiągnięciem pianistycznym.

Usłyszeliśmy tym razem w wykonaniu artystów radzieckich programy różnego typu: od najbardziej popularnych, przeznaczonych dla żołnierzy, robotników i młodzieży szkolnej (w tych ostatnich brała też udział para tancerzy: Lepieszynska—Gusiew) aż do bardziej „elitarnych“. Na pierwszym miejscu postawili artyści sowieccy utwory kompozytorów polskich: Chopina, Wieniawskiego i Szymanowskiego, dając tym dowód, jak bardzo interesują się naszą twórczością muzyczną.

Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Radzieckiej, pod którego protektorem urzędowo były cztery koncerty krakowskie, należało się słowa uznania i wdzięczności za tak interesujące imprezy.

Stefania Łobaczewska

# W OCZACH PISARZY

## Ankieta „Odrodzenia”

Redakcja „Odrodzenia” zwróciła się do pisarzy polskich z następującym listem:

Pragnąc zobrazować możliwie najbardziej dokładnie życie literackie lat wojny, zwracamy się do Pana (i) z prośbą o wzięcie udziału w ankiecie zbiorowej, którą organizujemy.

Oczekujemy od Pana (i) wypowiedzi, w której uwzględniłby Pan (i) w sposób, jaki Pan (i) uważa za właściwy, swój stosunek do rzeczywistości wojennej widzianej oczami już wyzwolonymi; wpływ, jaki ta rzeczywistość wywarła na Pańskie zainteresowania i zamierzenia artystyczne na przyszłość.

Prosimy również o uwzględnienie szczegółowe własnej twórczości lat wojny i udostępnienie nam jej w stopniu, jaki Pan (i) uzna za słuszny.

### NIEMOŻYTA CIEKAWOŚĆ

Ujrzeć rzeczywistość oczami już wyzwolonymi! Przyznaję, że największą moją troską od chwili wybuchu wojny było: zachować za wszelką cenę „niepodległość oczu”. Skoro nie można zmienić rzeczywistości, trzeba spojrzeć na nią nie z dołu ani nawet z równego z nią poziomu, ale z góry, z lotu ptaka, a gdy zajdzie tego potrzeba, nawet sub specie aeternitatis. Nie dać się wchłonąć wypadkom, ale nawet wtedy, gdy nas one stratują, wnieść się ponad niespokojnym spojrzeniem „oczu niepodległych”, świadomości niezwykłej.

Wrzesień 1939 roku był doskonałą zaprawą do utrwalenia tej pozycji życiowej. Dałam jej wyraz we wspomnieniach z oblężenia Warszawy, częściowo drukowanych w prasie podziemnej pt. „Dies irae”, częściowo odczytanych w gronie koleżanek po piórze na krótko przed wybuchem powstania sierpniowego.

Po upadku Warszawy w 1939 roku zaczęły się długie miesiące walki z głodem. Mój poprzedni warsztat pracy, „Bluszcz” spłonął doszczętnie, a zresztą o jawnym prowadzeniu pisma polskiego pod okupantem mowy być nie mogło. Więc poszły kolejno: piesze wędrówki po czytelnich prywatnych, którym zbywało się za bezcen własne książki, potem sprzedaż gwiazdkowa książek przez literatów po kawiarniach, kiosk w „Swannie” z książkami dla „powrotnych analfabetów”, a wreszcie kilkuletni entuzjastyczny wysiłek w „Spółdzielni Pracy Literatów” na terenie wielkiej czytelnicy na Mazowieckiej.

Z tego okresu mej „działalności” księgarsko-bibliotekarskiej utkwiły mi w pamięci dwa fakty radosne.

Jeden — to ocalenie od zagłady kilku tysięcy książek „zakazanych”, przeznaczonych na przemiał, a chytrze i niewinnie rozmieszczonych po piwnicach i domach prywatnych.

Drugi to jeszcze lepszy figiel. Zgłaszał się do mnie od czasu do czasu pewien bliżej mi nieznaną pan z prowincji po ładunki takich materiałów wybuchowych jak: „Ziemia gromadzi prochy”, „Na tropach Smętka”, „Krzyżacy”, „Placówka” itp. Ładunki te systematycznie były dostarczane wsi ciężarówką niemiecką, której kierowca był pewien, że wiezie skrzynie z normalnym szmuglem.

Wśród tej gorączkowej atmosfery można było jednak znaleźć czas na czytanie. Gorzej jednak było z pisaniem. Zdołałam jednak przygotować materiały do II tomu „Kobiety piszą” (portrety literackie polskich autorek). Zaczęłam opracowywać studium o prozie Iwazsziwicza. Ale to wszystko dokonywało się niejako na marginesie życia w godzinach, lekomyślnie ukradzionych codziennej gonitwie za groszem.

Książka, która mi narzuciła bezwzględny nakaz pracy pisarskiej, była „Zdrada klerków” Bendi, może dlatego, że znalazłam w niej ideologiczno-naukowe i historyczne zaplecze mego wewnętrznego frontu, ustawicznego protestu przeciw ideologii i metodom hitlerizmu, protestu, którym oszukiwałam przez długie lata okupacji śmiertelny głód prawdy i sprawiedliwości. Pracy nad przekładem tej książki, dotychczas na język polski nie przetłumaczonej, zawiązywałam najjaśniejsze chwile w nocy niewoli. Czytowałam go przez cały rok. Ostatniej redakcji dokonałam w maju 1944 roku, leżąc przez sześć tygodni z nogą w gipsie w szpitalu Czerwonego Krzyża w Warszawie.

W dwa miesiące potem wybuchło powstanie. Spłonęły zarówno dwa maszynopisy „Zdrady klerków”, przygotowane do druku, jak wszystkie moje dawniejsze prace rękopiśmienne i drukowane, np. zbiór recenzji z warszawskich premier teatralnych z okresu lat dwunastu, pamiętnik oblężenia Warszawy w 1939 roku i inne. Pozostał mi tylko dziennik powstania, kreślony pospiesznie na luznych kartkach i wyniesiony w plecaku po kapitulacji.

Jest w nas, ludziach pióra, jakaś niepożyta ciekawość przyszłości, zdolna ocalić człowieka od załamania, nawet w momentach utraty dorobku całego życia. Ta mnie utrzymała na powierzchni. Ale teoria „niepodległych oczu” wystawiona była na ciężką próbę...

W tym klimacie kłękni narodził się pomysł sztuki teatralnej pt. „Pasażerowie trójki”. Jest

to właściwie sceniczny reportaż z życia jednego warszawskiego podwórka od chwili wybuchu powstania do kapitulacji, skomponowany w ten sposób, że może być użyty również jako scenariusz filmowy. Pomysłu tego narazię zrealizować nie mogę: pozerają mnie książki, znowu książki! Od chwili wypędzenia Niemców z Częstochowy pracuję w tutejszej Bibliotece Miejskiej, zrazu jako wolontariuszka, obecnie już jako zastępczyni kierownika. Jest to praca nawskróś twórcza: z chaosu nagromadzonych szczytków wyprowadzamy nowy wspaniały świat księgozbioru, stwarzamy ognisko pracy umysłowej w mieście, które na jakiś czas stało się miastem uniwersyteckim, promieniuje na okolicę, przeskłamy praktycznie zastęp młodych bibliotekarek wiejskich, przyszłych pionerek kultury.

A oprócz tego musimy walczyć o istnienie biblioteki z Bankiem Gospodarstwa Krajowego, który ostrzy sobie zęby na nasz lokal.

Ha, trudno! „Pasażerowie trójki” muszą jeszcze poczekać na tramwaj! Kiedyś przecież dojadą!

Stefania Podhorska — Okolów

### TRZY ŚWIATY

Ad 1. Moje życie dzieli się na trzy okresy, tak różne, że są to dla mnie trzy różne rzeczywistości. Trzy różne zupełnie światy: sprzed wojny, podczas okupacji i teraz. Staram się „kontynuować”, zachować swoją osobowość i jeżeli istnieje jakaś ciągłość, jednolitość w moim życiu, to tylko polegająca na ciągłości moich reakcji negatywnych wobec każdej z tych trzech rzeczywistości. Oczywiście nie mam na myśli rzeczywistości politycznej. Przed wojną, kiedy mogłam dowoli zachłystywać się bez troską lekkomyślnością i optymizmem, będąc w pomyślnych raczej warunkach materialnych, wyczuwałam podskórny nurt tragizmu, którym naładowany był otaczający mnie świat. Romantyczne niepokoje, czy nastroiki katastrofistów to są rzeczy istniejące naprawdę. Co wcale zresztą nie znaczy, że powinny koniecznie wyładowywać się w sztuce. W okresie okupacji odwróciło się wszystko. Przez cały czas byłam statystką w całym ciągu niekończących się tragedii, które następowały jedna po drugiej, w odstępach najwyższej paromiesięcznych, a w których głównymi bohaterami byli bardzo bliscy mi ludzie. Ciągłe tuż obok mnie była śmierć i wydawało się niemożliwe, żebym się uchowała. Wtedy właśnie odczuwałam, jak nigdy przed wojną, chęć i konieczność życia. Teraz mam w sobie ordynarną zwierzęcą radość życia i obrzydzenie do siebie za to i obawę, że to wszystko pozabawiło mnie zdolności i już nic dobrego nie napiszę, więc to pilnowanie swojego życia nie zdało się na nic.

To wtedy, kiedy patrzę oczami wyzwolonymi.

Przez analogię opowiedziane wygląda to tak:

Kiedy byłam dzieckiem, wyczytywałam w sekrecie (bo mi nie było wolno) dramaty historyczne i tragedie Szekspira. Czytałam więc w ukryciu, gdzieś za fotelem, albo na strychu, albo w schowku pod schodami, po ciemku. To były chwile grozy i strachu, potwornej męki, zlepiącej potem włosy na głowie. „Śmierć, rzecz to straszna”, mówił na przykład Klaudio do zbiorów, którzy go przysli zabić. Czytałam ledwo umiając czytać, (bo moje wychowanie było żadne), byle prędzej, byle już. I wiedziałam, że ja, Klaudio, czy kto inny, umrę zaraz, umrę okropnie. I umierałam. (Chorowałam wtedy, może dlatego, na serce). Kiedy skończyłam, wychodziłam spocona, a równocześnie zziębnięta do ogródka. Tam było słońce, niebiesko i białe kwitły kartofle. Po ścieżce przechadzała się Białuśka, moja kura, która za parę miesięcy okazała się być kogutem. Chłopcy z ulicy, z którymi nie wolno mi było bawić się, wrzucali mi przez płot piłki z pończoch i trwało długą chwilę, zanim przystosowałam się i uważałam to drugie życie.

Ad 2. Na moją twórczość miało to wpływ zły. Uczę się na nowo pisać. Nic nie umiem, wszystko zapomniałam, książek nie mam, czytać nie mam czasu. Na mnie miało wpływ dobry, albo zły, w każdym razie taki: według mojej etyki uczynek jest dobry albo zły wtedy, jeżeli jest dla innych ludzi dobry albo zły. (Tak było przed wojną). Innymi słowami albo oczami: Uczynek jest dobry albo zły, zależnie od tego, czy jest społecznie dobry czy zły. A więc, jeżeli moje pisanie będzie zjawiskiem społecznie **nie**dobrym będzie stratą czasu, a więc będzie społecznie złym. W takim wypadku lepiej robić coś innego, społecznie przydatnego. Bo to chronienie swojego życia, chodzenie bocznymi ulicami, wyjeżdżanie albo niewychodzenie z domu podczas łapanek musi mieć jakiś sens, jakiś cel. I za to przetrwanie trzeba czymś zapłacić.

Poza tym: wojna zabierając mi majątek wyzwoliła mnie wewnętrznie. Doznałam ulgi i uspokojenia. Mogę pisać tak jak myślę i mówić, nie mam już fałszywej pozycji „obszarnika”, która zatrała moją młodość. Teraz mam prawa takie same jak wszyscy inni, albo praktycznie mniejsze i mogę wszędzie czuć się

u siebie. Nie mam już poczucia niższości. Jeżeli „rewolucja łagodna” stanie się „ostra” i dobierze się do ludzi z powodu ich pochożenia, będę miała prawo się bronić, jeżeli mi na to przyjdzie ochota, oczywiście. W każdym razie mam prawo być pisarzem postępowym. Przed wojną wyraźnie okazywanie moich przekonań inaczej niż w metaforze, np. przez ogólny sens jakiejś artystycznej całości, było mi wzbronione. Że sobie na to nieraz pozwalałam, to inna sprawa.

Ad 3. Podczas wojny napisałam trochę wierszy. Większość ich się zgubiła. Przez ja-

## Po prostu

# Dwa realizmy

Jerzy Andrzejewski w pięknym szkicu „O realizmie i fantastyce” („Odrodzenie” nr 21) przeciwstawia literaturę, która zachowuje honorowy i odpowiedzialny stosunek do rzeczywistości, utworom, które pragną ukazać mroki serca własnego lub cudzego. Za realistyczną uważa Andrzejewski tę literaturę, która stara się opowiedzieć jak wygląda świat i co się na nim dzieje; fantastyka mianuje natomiast wszelkie próby reakcji świata niepoznawalnego, zagubionego i samotnego, jakim są przeżycia ludzkie. Stąd Swift, który skrupulatnie notuje wymiary ludzi, zwierząt i rzeczy w krainie Liliputów i Olbrzymów, staje się dla Andrzejewskiego bardzo bliski Balzakowi, który nie omieszcza nam nigdy podać z czego żyją jego bohaterowie, jakie nieble stoją w ich mieszkaniach. To błyskotliwe zestawienie Swifta z Balzakiem wydaje się pozornie słuszne i dlatego warto poświęcić parę słów, aby udowodnić jego fałszywość.

Otóż jest rzeczą niezmiernie ciekawą, że Swift w swoich opisach podróży Guliwera po pełnia pewien bardzo zabawny błąd naukowy, wynikający z przekonania, że można, zmieniając proporcje ciał, zachować jednakże ich niezmienną właściwość. Jest tymczasem zupełnie oczywiste, że gdyby w krainie Brobdignac olbrzymi byli tak samo zbudowani jak my jesteśmy, nie mogliby ani poruszać się, ani nawet wstać z ziemi, ponieważ ich kości nie udźwignęłyby ogromu ciała. Gdyby olbrzymi ci mieli naprawdę chodzić, kości ich i mięśnie musiałyby powiększyć się w porównaniu z ich wzrostem nieproporcjonalnie, lecz co najmniej w stosunku kwadratowym. Kiedy czytamy, że biedny Guliwer przy pomocy szabli walczy w krainie Olbrzymów z rojem much wielkich jak nasze sępy, zapominamy, że muchy tej wielkości, aby mogły latać, musiałyby mieć skrzydła o zupełnie innych proporcjach i zupełnie inną budowę ciała. Pchła, która by była wielkości słońca, nie mogłaby żadną miarą skakać. Co więcej, gdyby woda w krainie Liliputów miała te same właściwości co u nas, biedny ludek nie mógłby nigdy ugasić pragnienia, wszelkie bowiem butelki i szklanki Liliputów byłyby rurkami włoskowatymi. Na te błędy Swifta nie zwrócił uwagi żaden z historyków literatury, podniósł je dopiero wielki współczesny filozof a zarazem badacz rozwoju chemii i fizyki — Emil Meyerson.

Pomyłka Swifta nie jest jednak przypadkowa. Wynika ona zupełnie konsekwentnie z poglądu na świat, który autor „Podróży Guliwera” odziedziczył po wielkich pisarzach siedemnastego wieku. Ów pogląd na świat, ochrzczony na ogół mianem mechanistycznego realizmu, wyrażał przekonanie, że natura jest zawsze i wszędzie do siebie podobna, że zmienne ilościowe nie prowadzą do zmian jakościowych, że wreszcie prawa, które rządzą światem, wyprowadzić można z paru prostych i oczywistych zasad. I nie znajdziemy lepszego uzasadnienia filozoficznego „Podróży Guliwera” jak owa stronica z „Rozprawy o metodzie”, gdzie Kartezjusz pisze, że „z nasion prawdy, które w sposób naturalny spoczywają w naszych duszach”, wyprowadził wytlumaczenie wszystkich zjawisk, jakie są w naturze, a więc: „niebios, gwiazd, ziemi i nawet na ziemi wód, żelaza, minerałów”, i paru jeszcze innych rzeczy, które są najbardziej pospolite i najprostsze, a przez to najłatwiejsze do poznania.

Jeżeli istnienie wszystkich zjawisk wprowadzać można metodą geometryczną z pierwszych przyczyn, jeżeli wszystko co istnieje w świecie jest zawsze do siebie podobne i posłuszne tym samym prawom, każde doświadczenie badanie odrębności poszczególnych zjawisk staje się, rzecz prosta, niepotrzebne. I dlatego nie powinno nas dziwić, że uczeń Kartezjusza Malebranche pisał, iż „nie pojmuję przyczyn, jakie skłonić mogą ludzi poważnych do zajmowania się sprawą tak błahą, jak na przykład budowa ciała komara lub muchy. „Rozumiej jeszcze” — dodaje ów uczony filozof — „że pracom tego rodzaju poświęcają się leniuchy lub trzpioty, niegodna ona w każdym razie, aby zaprzęcać umysł prawdziwego mędrca”. Podobnie Bossuet gromi w swoich kazaniach historyków za nadmiar uwagi poświęconej dziejom Rzymu. Natura ludzka — twierdził wielki kaznodzieja królewski — jest zawsze i wszędzie ta sama, po cóż karmić czczą ciekawość i poządlwość oczu obrazami życia narodu pogańskiego, który dawno przestał istnieć?

kieś pół roku przez pomyłkę w policyjnej księżce adresowej, zamiast na Wrocławską 11, gdzie mieszkali Niemcy, również i policjanci, przyjeżdżali i przychodzili w nocy o każdej godzinie różni żandarmi, gestapowcy, szupaki itd., i dzwoniłi. Wtedy chowałam je na gwałt gdzie mogłam (te wiersze) i to tak prędko i dobrze, że się chyba pod ziemię zapadały.

Próbowałam dalej pisać moją powieść zaczęłą przed wojną, już wojenną, „Zaprzecanie Józefa”. Zaczęłam drugą, „Klucz”. Jeżeli potrafię, to je skończę.

Helena Wielowiejska

Wielka literatura francuska siedemnastego wieku powstała z geometrycznej analizy wiecznych i prostych namietności, jakie rządzą sercem ludzkim. Z kartezjańskiej definicji człowieka, jako „substancji, której całą istotę stanowi myślenie”, wywodzą się nie tylko abstrakcyjne maksymy La Rochefoucaulda i niezmiennie wzorce typów ludzkich, jakimi są „Charaktery” La Bruyère’a, ale również bajki La Fontaine’a. I tutaj ma niewątpliwą słuszność Andrzejewski, kiedy pisze, że „La Fontaine i Trembecki opowiadają wyimaginowane losy zwierząt, ptaków i owadów, obracają się w takiej samej rzeczywistości, co Molière, wprowadzając na scenę Tartuffa lub Staszic piszący poemat o „Rozdanie ludzkim”.

Ten obraz świata prosty, zrozumiały i przejrzysty jak kryształ, zburzony został dopiero przez empiryczną wiedzę osiemnastego wieku. Chemia i biologia powstały w tym samym czasie co historia i etnografia. I trudno o lepszy przykład nowej literatury, wyrażającej ducha epoki, jak powiastki filozoficzne, a zwłaszcza „Candide” Voltaire’a. Czymżeż jest bowiem innym „Candide” jak nie zbiorem opowiadań o konkretnych historycznych faktach, których zadaniem jest dowiedzieć, że światem rządzi ciemnota, gwałt i przesąd. Podobnie Diderot opowiada, nie zmieniając nawet często nazwiska, o żywych osobach, o wypadkach, jakie naprawdę się zdarzyły.

Na miejsce abstrakcyjnej literatury o człowieku, mieszczańscy autorzy angielscy i francuscy zaczęli pisać o codziennym życiu klasy społecznej, z przynależności do której byli dumni. Takie były początki nowego gatunku literackiego — powieści realistycznej. Wyrazała ona nie tylko z innych pokładów społecznych, ale również i z innej wiedzy o człowieku i świecie, niż „Podróże Guliwera” Swifta. Powieść realistyczna rodziła się z przewyższenia kartezjanizmu, dojrzewała razem z wiedzą o człowieku pojętym jako istota społeczna.

Klasykiem powieści realistycznej stał się dopiero Balzac. Posiadał on pierwszy pełną świadomość kanonów gatunku literackiego, który doprowadził do mistrzostwa. W przedmowie do „Komedii ludzkiej” czytamy: „Fakt — oto największy w świecie powieściopisarz. Aby praca pisarza była istotnie twórczą, wystarczy studiować rzeczywistość. Francuskie społeczeństwo — oto współczesny historyk, a ja jestem jedynie jego sekretarzem”.

Jeżeli dyskusja o realizmie ma naprawdę przynieść pożytek, nie wystarcia, jak to zrobił Andrzejewski, przeciwstawiać nieodpowiedzialnemu fantazjowaniu wczorajszych i dzisiejszych psychologów — „wzniosłą i trwałą prawdę” realizmu od La Fontaine’a i Swifta po Flauberta i „Chatkę Puchatka”. Musimy wyodrębnić wielkie, historyczne problemy kolejnych etapów realizmu i uczynić z nich żywą treść naszych dyskusji literackich.

Jan Kolt

## Konkurs na nowelę

Oddział krakowski Związku Zawodowego Literatów Polskich (Krupnicza 22) ogłasza konkurs na nowelę lub opowiadanie. Warunki konkursu są następujące: 1. Utwór nie może sięgać do tematów wcześniejszych od września 1939. 2. Nadsyłać można tylko utwory nie ogłoszone drukiem (nie dotyczy to publikacji w podziemnej prasie literackiej). Nadsyłać można również utwory autorów, którzy nie mają do publikacji w podziemnej prasie literackiej, z tym, że w razie przyznania danemu utworowi jednej z nagród zostanie ona wypłacona według obowiązujących przepisów spadkowych. 3. Rozmiar utworu nie może przekroczyć arkusza (16 stron) druku ósemki (35 wierszy po 55 znaków, albo 1/4 kolumny formatu „Odrodzenia”). 4. Nagrody będą przyznane w następującej wysokości: I nagroda 15 000 zł, II nagroda 10 000 zł, III nagroda 5 000 zł. Nagrody nie będą dzielone i bez względu na ocenę nadesłanego materiału zostaną przyznane w wymienionym następstwie i wysokości. Ponadto Sąd Konkursowy wyróżni inne opowiadania w Iclzie, jaką uzna za stosowną. 5. Utwory nagrodzone i wyróżnione zostaną wydrukowane w miesięczniku „Twórczość” lub tygodniku „Odrodzenia”. 6. Sąd Konkursowy stanowią: red. Karol Kuryluk, prof. Julian Krzyżanowski, Wojciech Natanson, Adam Polewka, Helena Wielowiejska. 7. Termin nadsyłania utworów upływa w dniu 1 lipca 1945 r. W razie nadejścia utworu po dniu wymienionym rozstrzyga data stempla pocztowego. Wyniki konkursu zostaną ogłoszone najpóźniej do dnia 1 września 1945 r. 8. Utwory mają być podpisane hasłem, do każdej przesyłki należy załączyć zapieczoną kopertę, zawierającą imię, nazwisko i dokładny adres autora, za wyjątkiem autorów nieżyjących, których nazwiska autora nazwisko i adres nadsyłającego. 9. Utwory niespełniające któregokolwiek z warunków konkursu będą wyeliminowane bez czytania.

Sprostowanie: W artykule Stefani Łobaczewskiej pt. „Muzyka europejska na rodnozu”, umieszczony w nrze 24 „Odrodzenia” wiersz 15—20 powinien brzmieć: „Właśnie taka, jaka jest, szczerą i prawdziwą”, a nie — jak mylnie wydrukowano „nieszczerą i prawdziwą”.

\* Por. odpowiedzi H. Boguszewskiej, J. Brzostowskiej, T. Czyżewskiego, J. Kornackiego, T. Kudlińskiego, J. Kurka, J. Kydryńskiego, H. Malewskiej, H. Mortkowicz-Olczakowej, J. G. H. Pawlikowskiego, E. Szelburg-Zarembiny i J. Zawieskiego w nr nr 19—25 „Odrodzenia”.

# Wspominki

Latami wyglądaliśmy tego momentu, gdy się nareszcie załamała germańska potęga, wierzyliśmy i wiedzieliśmy, że moment ten nastąpi i pilnie śledziliśmy rozwój wydarzeń oraz ich echa w prasie bądź niemieckiej, bądź — co na jedno wychodziło — „gadzino-wej”, w której umieliśmy odczytywać prawdę między wierszami.

I oto po pierwszych rozgłoszonych fanfarach, ogłaszających dumnie światu poszczególne etapy tryumfalnego pochodu „niezwyrodnęcej” armii niemieckiej, nadeszła pamiętna strasliwa kontra zimowa i sytuacja poczęła się rychło zmieniać. Fanfary wprawdzie jeszcze tu i ówdzie pobrzmiwały, ale dźwięczały jakoś mniej pewnie, coraz mętniej; na spasionych obliczach przedstawicieli „Herrenvolku” zamiast dotychczasowej arogancji i buty, jęły się ukazywać grymsy zafrasowania; wysrubowana historycznymi wrzaskami „Führera” popularność wyprawy na Rosję poczęła raptownie maleć; przemowy stały się rzadziej, jałowe, bezładne, przetykane już tylko bezsilnym zachłystywaniem się pasją oraz groteskowymi apostrofami do „Wschodnio-nie”; z wszelkimi datami, terminami, zapowiedziami, przepowiedniami i obietnicami trzeba było radykalnie skończyć — no i cały aparat propagandowy zasadniczo przestawić i pod innym naregulować kątem.

Śledziliśmy te fakty i te objawy z wyczerpaną uwagą i z zapartym oddechem i na naszych zebraniach w ścisłym gronie — kiedy można było na chwilę czuć się bezpiecznie, poza zasięgiem niemieckich zbirów i ich usługowych pomocników — dawaliśmy folę naszym uczuciom, troskom, lecz także radościom i nadziejom. A że bractwu naszemu nie zbywało mimo wszystko na werwie i animuszu, coraz to zdarzało się któremuś z nas dać upust swej weni satyrycznej, chwytając w lot bądź aktualne konkretne fakty, bądź chwilami jeszcze nieuchwytną a jednak wyczuwalną nastroje prasy i propagandy hitlerowskiej.

W ten sposób powstawały — obok utworów poważnych, głęboko tragicznych — jako półniekąd reakcja na ogólne przynęcenie, jako swoiste zastrzyki witaminy optymizmu — różne anegdoty, dykteryjki, facecje i fraszki. Figliki te niewątpliwie miały swoją wartość i spełniały swą rolę, budząc wśród nieszczęsnych Polaków wesołość i śmiejąc otuchę.

Pokłosie to — bynajmniej niebagatelne i nieobojętne dla przyszłych historiografów owego okresu życia Polski podziemnej — z pewnością doczeka się swoich skrzętnych i systematycznych zbieraczy. Zanim to wszakże nastąpi, pragnę po prostu zanotować coś nie coś, utrwalić kilka takich dokumentów zjadliwego humoru politycznego, i podzielić się z czytelnikami — tak jak swego czasu dzieliliśmy się nimi potajemnie. Rzeczy te — pióra podpisane krążyły wprawdzie tu i ówdzie w odpisach, ale były one bardzo nieliczne i ogółowi raczej nieznanne... Zresztą wprost nie mogę odmówić sobie przyjemności ujżenia

ich w szacie „drukowanego słowa”. Ze zaś bodaj warto już dzisiaj epizodycznie utrwalic to i owo z tych podówczas na gorąco preparowanych „kawałów”, widać chociażby z tego, iż zacytowanie ich wymaga — gwoli pełnemu zrozumieniu — pewnego omówienia, niejaki „komentarz historycznych”.

Na razie poprzestaną na trzech drobniakach, które utkwiły mi w pamięci, a które cieszyły się wśród słuchaczy dużym powodzeniem.

Pierwszym był anagram, zbudowany na nazwisku „Führera”: chodziło o odczytanie dla nas wróżby przyszłości z liter składających się na owo nienawistne nazwisko. Brzmiało to tak:

Heca  
Idiotyczno  
Tragiczna  
Lecz  
Epilog  
Radosny

Poza tym przypominam sobie dwie fraszki, które narodziły się pod wpływem lektury goebbelsowych wypocin. Niestrudzony minister propagandy w swych wypracowaniach — według nowego kursu — usiłował teraz gloryfikować defensywę zamiast tak namiętnie dotychczas wychwalanej ofensywy, straty niemieckie przedstawiał jako genialne osiągnięcia niemieckiego dowództwa, klęski — jako dalekosiężne manewry operacyjne, forsowną ucieczkę armii Rommla — jako wirtuozowski wyczyn, jako przejaw jakiejś specjalnej „strategii pustyni” stosowanej przez „starego lwa afrykańskiego”. Wówczas to w komunikatach i komentarzach prasowych zariło się od pracowicie i przemyślnie wysmażanych definicji, mających osłodzić gorzkie pigułki preparowane przez nieubłaganą rzeczywistość. Czytaliśmy więc o „technice elastycznej”, o „ruchach oderwania się od nieprzyjaciela”, o „wojnie ruchomej”, o „planowych odwrótach”, o pozostawianiu przeciwnikowi różnych miast w ramach zamierzonego ścieśnienia frontu itp. Na tym gruncie powstały dwie fraszki, które na zakończenie tej pogawędki podaję poniżej:

## TERMINOLOGIA

„Ruchy wymijające”, „strategia pustyni”, „technika elastyczna” i „wojna ruchoma”... Wyrażen całe mnóstwo — niczym śmieci w skrzyni, bardzo dużo terminów — ale treść wiadoma. Bowiem — chociaż określeń macie całą kupę, każde z nich znaczy jedno: Niemcy biorą w...”

## PLANOWE ODWRÓTY

Każde oddane miasto — to wnet tryumf nowy; Niemcy do coraz lepszych dochodzą wyników; Każda przegrana bitwa — to odwrót planowy. Tak! wszystko według planu — ale...

bolszewików.

Gabryel Karcki

# Muzeum w Kozłowie

W jesieni zeszłego roku w Kozłowie, koło Lubartowa, utworzono Muzeum Narodowe, ścisłej, uznano za Muzeum Narodowe pałac i zbiory, które się w nim znajdowały.

Kozłowska jest jednym z rzadkich na naszej ziemi punktów, z którymi wojna obeszła się laskawie i gdyby nie to, że dawni właściciele, mniej więcej rok temu, część obrazów, dywany, porcelanę i większość mebli wywieźli do Warszawy, byłaby się Kozłowska dochowała do naszych dni w niemal przedwojennej postaci.

Ordynacja kozłowiecka należała w drugiej połowie zeszłego i w pierwszej ćwierci naszego wieku do Konstantego Zamoyskiego, człowieka, który musiał namiętnie nie znosić pustych miejsc na ścianach. Kozłowska już nie obficie udekorowana, ale literalnie wytapetowana była obrazami — obrazy wisiały w korytarzach, w ciemnych sionkach, łazienkach, pokoje obwieszane były po sam sufit. W wielkim, tzw. „czerwonym” salonie, obrazy wiszą dotąd pomiędzy oknami na wysokości drugiego prawie piętra (sala jest bardzo wysoka) w takich warunkach oświetlenia, że tylko w dni bardzo jasne zorientować się można, czy płoćno jest portretem meksem czy kobiecym. W jednej z pałacowych ubikacji wisiało pięćdziesiąt kilka obrazów, nawet rzeźbarny był zajęty. Gdyby Konstanty Zamoyski oberwany był instynktem takiego Szczukina czy Morozowa, mielibyśmy teraz w Polsce wspaniałe muzeum nowego zachodniego malarstwa — niekiedy Kozłowska ozdoba była najbardziej niesamowitym grochem z kapusta, jaki mi danym było widzieć kiedykolwiek. Obok pięknych, starych oryginałów wisiały bezwartościowe kopie, obok kopii peżyłyki godne kramu za dawna, poczciwą Żelazną Bramą i reprodukcje mechaniczne w kosztownych, złotych ramach, reprodukcje przeważnie zupełnie liche, często dopelniane ręcznie, olejno.

Toteż miesiące spędzone w Kozłowie w roli kustosa-inwentaryzatora dostarczyły mi emocji podobnych tym, jakich doznawał museli ongiś Livingstone czy Stanley w swoich afrykańskich podróży. Przebiegałem się też przez dziewczęcą puszcę, przez puszcę obrazów, z bijącym sercem szukając skarbow, a los okazał się dla mnie nadszpiewaniem laskawy, skarby znalazłem i, jak to było, opowieść.

Prawdziwe dzieło sztuki promieniuje jak rad, arcydzieło zwyciężył półmrok, da sobie radę nawet z ciemnym kątem; od Vermeerów w Rijksmuseum w Amsterdamie bije taki blask, że od niego gasną wszyscy „mali” Holendrzy. Wystarczyło mi w kozłowieckim pałacu na to promienowanie nastawić swoją wrażliwość, by odnaleźć rzecz dobrą choćby pod samym sufitem, obraz gada do malarza, jak natura do myśliwego.

Kozłowska zatoczona jest różnymi portretami Zamoyskich, są to w większości kopie płócien znajdujących się, prawdopodobnie, dawniej w Błękitnym Pałacu w Warszawie, czy też w Klemensowie. Wśród antenatów najcenniejszy widać musi być portretowiec Zofia z Czartoryskich Zamoyska (żona Stanisława, ordynata), bo muzeum ma dużą bardzo liczbę jej podobizn. Malował ją w Polsce Grassl, malował ją we Francji Isabey, Grévedon, Greuze, Gérard. Wiele od tych kopii, powtarzających się widać w najróżniejszych formatach i technikach nieznośna nada — popularność uśmiecha się, kryguje, udaje romantyczny smutek, zamyslenie — a o! ni stąd ni z owad,

w owalnej empirowej ramie śliczny portret peten blasku.

Na tamtych wizerunkach uroczą Zosią Czartoryską przedstawiona jest raczej „en beau”, (oczy jak ogromne dwie gwiazdy), tutaj jest raczej „en laid”, tam nuda i wdziek pani z pudełka na cukierki, tu czar żywej kobiety. Płoćno malowane przez Francuza, to nie może ulegać wątpliwości, — w pierwszych latach dziewiętnastego wieku, to też jest niewątpliwie. Portret musiał być kiedyś prostokątny, później wycięto zeń owal, odrzucając róg malowidła, na pewno razem z sygnaturą, bo rzecz o tej wartości, w tej epoce musiała być sygnowana.

Na tle brązowej kotary, na krywym zielono-błękitnym aksamitem fotelu, siedzi w pozie pełnej swobody młoda kobieta; jest w białej, kremowej sukni czerwonym szalu. Obraz w materii przypomina piękna, starą porcelanę, malowaną gładziutko, jest bezwartościwa oryginalnie. Jest oryginalnie, bo promieniuje blaskiem i bezpośredniością dobrego malarstwa, jest ślicznie modulowany w kolorze, biała suknienka mieni się perłowo, coraz to inną bielą, szal, który okrywa kolana portretowanej jest znany inna czerwienią z lewej strony płócina, inna z prawej. Twarz, szyja, pierś, ręce są nie z blachy malowanej cielisto, ale z ciała, ciasto świeci, świeci bardziej niż biała suknia.

Kto jest autorem tego portretu? Doskonale malarz, to jedno jest zupełnie pewne. Nie jest nim, sądzę, David, malowidło nie ma nie z owym „meksością” sztuki Davida (wobec portretów Davida, „portrety Ingresa są prawie żalotne), nie jest nim Prud'hon, nie widać tu ani śladu charakterystycznego prud'honowskiego „sfumata”; Isabey ze swoim łatwym wdzikiem nie dorósł do poziomu tego obrazu. Dwa nazwiska pozostają mniej więcej możliwe — Gérard i Ingres. Stylem układu płócina to mogłoby odpowiadać twórczości ich obu. Gdybyśmy przypisali je Gérardowi, byłoby ono jedną z jego najlepszych prac, a są tam partie takie, jak choćby kolorowe hafty na szalu, które doskonałością swoją przerastają, wydaje mi się, możliwości Gérard.

Zatem Ingres? Data portretu mogłaby być, mniej więcej, datą portretów rodziny Riviere, artysta wyjechał na dłużej do Włoch dopiero, jeśli się nie mylę, w r. 1809 (portret mógł być malowany zresztą i we Włoszech po r. 1809), a St. Zamoyscy w pierwszym dziesiątku stulecia przebywali często we Francji. Zupelną prawie pewnością datoby nam tylko jakieś pisemne świadectwo współczesne w postaci wzmianki gdzieś w listach, pamiętnikach czy rachunkach rodziny Zamoyskich albo Czartoryskich.

Arcydziwną wydaje się na terenie kozłowieckim rzecz jedna; mianowicie tajemnicza otaczająca ten portret. Na wszystkich prawie wizerunkach znajdujących się w Kozłowie umieszczono na odwrócie informacje, kogo malowidło przedstawia i kto jest jego autorem (nie nadmieniam o prawie nigdy, że płoćno jest kopia), tutaj natomiast, na tym oryginalnie, oko autora panuje cisza zupełna.

Ingres w początku zeszłego wieku nie był osobistością tak sławną, jak pod koniec życia, ale był bądź co bądź artystą znanym, tymczasem nie robiło sobie widocznie wiele z tego płócina w rodzinie Zamoyskich, skoro wykrojono je w owal, obcinając cenną sygnaturę. Warunki wojenne utrudniają

niezmiernie poszukiwania archiwalne, tak jak uniemożliwiły mi uzyskanie fotografii obrazów, o których piszę, fotografie poprzyły skutecznie moje słowa.

Są w Kozłowie jeszcze inne rzeczy niezmiernie godne wzmianki, a mianowicie dwa nieduże Teniersy, malowane na miedzianej blasze. Nieco schematyczne w układzie (widać stąd, że na schemacie oprócz można czasem dobrać sztukę), są ślicznie, lekko, ogromną werwą malowane flamandzkie pejzaże, gdzie przed wiejskim domkiem, tańczy kompania ludków w krasych ubrankach. Rudawe drzewka wsiadają w blade, usłane wełnistymi chmurami niebo, a drugie i trzecie plany ścielą się i uciekają daleko, daleko w głąb.

Jest także pejzażyk, cały złoty w tonacji, w bardzo włoskim charakterze, z krowami i pasterką na pierwszym planie, malowany niewątpliwie przez Holendra, który musiał mieć oczy pełne Italii.

Może to Karol Dujardin? Jest spory pejzaż, tematem włoski, przedstawiający zachód słońca nad morską zatoką czy jeziorem. Słońce schowało się za ruiny baszty na drugim planie i cień zalega plan pierwszy z figurkami wieśniaków, kobietą siedzącą na mule (mule ma włoską kapuzę na głowie) i soczystą, ciemną zielenią wielkich drzew, rosnących po lewej stronie obrazu. Cała strona prawa to kolosalny stok góry, nad wodą sfalowaną i przeźroczą, z małymi domkami, ruinami zamków, lesisty i powietrzny. Z kominów snują się niebieskie dymy. Nad tym wszystkim sklepa się niebo przed zachodem słońca, kolorowe bardzo i unosi się poezją doskonałej sztuki.

Są jeszcze pejzaże z ruinami starożytnych budowli, ze szkoty prawdopodobnie rzymskiej, są inne o charakterze weneckiego rokoka, są ładne portrety (portret królowej Marii Ludwiki, A. Czartoryskiego, malowany przez Bacciarellę), osiem małych, pełnych wdzięku pastelii osiemnastowiecznych. Jest cały szereg obrazów o wartości dekoracyjnej, portretów cennych jako dokumenty historyczne, czy obyczajowe. Bawiłem się w górnika w tej kopalni, przez prawie cztery miesiące i czasu tego nie żałuję. Warta była gra świeżki.

Kiedy warunki pozwolą wreszcie kozłowieckie zbiory przemieścić do muzeum miejskich, Kozłowska przekaze Polsce, i to jest najradziej, również i takie obiekty, które godne byłoby dobrych sal Luwru.

Jerzy Wolff

## Kalendarz kulturalny

W Warszawie — grupa pisarzy, postów do Krajowej Rady Narodowej — w osobach Heleny Boguszwskiej, Jerzego Kornaćkiego, Leona Kruczkowskiego i Zofii Nałkowskiej — na zebraniu odbytym w stolicy wysunęła szereg postulatów, związanych z zagadnieniem zadań społecznych pisarza w dziele odbudowy polskiej wspólnoty narodowej oraz ze sprawą działalności pisarzy — postów do KRN. Grupa literacka w KRN licząca kilkunastu postów, winna wziąć w chwili obecnej czynny udział w organizujących się komisjach KRN, zwłaszcza w komisjach kultury i sztuki oraz oświaty i propagandy. Pisarze — postowie mają w komisji kultury i sztuki pole do kierowniczej pracy nad stworzeniem nowego statutu Związku Zawodowego Literatów Polskich, który, z uwagi na społeczne znaczenie pisarza w życiu narodu i państwa, powinien zawierać normy prawne, dokładnie określające zawodowy charakter związku i chroniące go przed napywem członków, którzy pracą pisarską bądź zawieszili zupełnie, bądź też wykonują ją przegodnie czy nieodpowiedzialnie. Pisarze — postowie do KRN będą w toku swych prac w poszczególnych komisjach wpływać na odpowiednie ministerstwa, samorządy, instytucje społeczne, partyjne, gospodarce itp., aby zatrudniali one pisarzy, zabezpieczając im środki egzystencji i warunki, niezbędne dla ich twórczej pracy.

Pod przewodnictwem Józefa Wasowskiego odbyło się dnia 13 bm. walne zebranie oddziału warszawskiego Związku Zawodowego Dziennikarzy, gdzie dokonano wyborów do nowego zarządu, w skład którego weszli: Antoni Bida (prezes) oraz Andrzej Krzeptowski, Stanisław Sachnowski, Helena Duninówna, Antoni Pisarski, Stefan Świerżewski i Mieczysław Wadiaz (członkowie). Ponadto na zebraniu uchwalono szereg wniosków w sprawach zawodu dziennikarskiego i postanowiono wykluczyć ze związku członków, którzy występowali się okupantom, pisząc na łamach prasy niemieckiej, drukowanej po polsku.

Jerzy Zaruba opracowuje tekę graficzną pt.: „Warszawa”. Jest to cykl rysunków, obrazujących życie stolicy za czasów okupacji. Tekę podzieloną jest na serie pod różnymi tytułami, jak np.: „Nur für Deutsche”, „Nasi milusińscy”, „Kontrasty”, „Noce i dni” itp. Niektóre z tych szkiców były wystawione w Lublinie w październiku 1944 r. Część z nich została zakupiona przez Ministerstwo Obrony Narodowej.

W dawnym gmachu „Zachęty” na pl. Małachowskiego, przejętym przez Ministerstwo Kultury i Sztuki, zaistniał Państwowy Zakład Konserwatorski. W najbliższym czasie po wyremontowaniu gmachu, konserwatorzy przystąpią do pracy nad odnowieniem zniszczonych dzieł sztuki M. in. odnowiony zostanie „Grunwald” Jana Matejki.

W Łodzi w najbliższych dniach zostanie otwarta w salach Magistratu wystawa dzieł sztuki, zabezpieczonych na terenie województwa łódzkiego przed Wzrostem Kultury i Sztuki. Wystawione będą obrazy, rzeźby, sztychy i ceramika, które ocalały przed zniszczeniem i wywiezieniem do Niemiec. Zbiór ten zawierał będzie m. in. dwa obrazy Matejki: „Sedziwo” i „Maria Mniskówna”, dzieła Michałowskiego, Brandta, Jacka Malczewskiego, Wyczółkowskiego, Maksymiliana Głerymskiego, Axenowicza.

Z końcem maja br. ukaże się pierwszy numer dwutygodnika społeczno-literackiego „Kuznica” w objętości 32 stron. W skład komitetu redakcyjnego wchodzi: Zofia Nałkowska, Mieczysław Jastrun, Adolf Rudnicki, Jan Kott, Jerzy Andrzejewski i Stefan Żółkiewski. W pierwszym numerze ukaże się m. in. pełny stenogram zebrań dr. Arthura Mayera, jednego ze świadków przed Komisją Oświeceniową, przekład utworów wojennych poety francuskiego Louis Aragon, plóra Adama Ważyka, fragment prozy Adolfa Rudnickiego pt. „Wzrostanie w ghetcie”, artykuł prof. Z. Szymanowskiego pt. „O szkolnictwie wyższym”. Ponadto numer zawierał będzie bogaty dział kroniki krajowej i zagranicznej.

Dnia 12 bm. odbyła się w lokalu Studio Teatralnego inauguracja wieczorów autorskich, organizowanych przez łódzki oddział Związku Zawodowego Literatów Polskich. Program pierwszego wieczoru wypełniły utwory Zofii Nałkowskiej, Poli Gojawicyńskiej, Ewy Szelburg-Zarembiny, Mieczysława Jastruna i Adolfa Rudnickiego.

Nakładem Związku Zawodowego Literatów Polskich ukaże się tom wierszy Jana Huszczy pt. „Pamiętnik liryczny”. Autor przebywał przez dłuższy czas na emigracji w głąb ZSRR i tam powstała większość zamieszczonych w tomie utworów, z których bije tęsknota za krajem rodzinnym („Pleśń o Rzeczypospolitej”, „Modlitwa o powrót”).

Dom Żołnierza w Łodzi rozpoczyna działalność inauguracyjną Teatr Małych Form. Teatr ten łączyć będzie elementy natury politycznej i humoru z liryczną i żołnierską piosenką. Na program, opracowany przez zespół teatru, składają się teksty: Pawła Herta, Jerzego Jurandota, Jana Rojewskiego, Adama Ważyka, Krystyny Wołńskiej. Kierownictwo muzyczne spoczywa w ręku Zygmunta Wichlera. Prace zespołu aktorskiego odbywają się pod kierunkiem Eugeniusza i Marii Kaniewskiej; dekoracje opracowują: Jerzy Zaruba, Jerzy Cieślak i Marjan Stepien.

Jedną z polskich prapremier powojennych da Teatr im. J. Slowackiego w postaci sztuki Ludwika Hieronima Morstina, autora „Obrońcy Ksantypy” pt. „Penelopa”. Historia Penelopy i Odyssea przedstawiona jest u Morstina bez posągów i koturnów filologicznych, osoby dramatu przemawiają potocznym językiem ludzi współczesnych, utwór ma znamioną żywą aktualność — zwłaszcza dziś w dobie liczących i coraz liczniejszych „powrotów” wojennych.

Dnia 23 maja w Domu Literatów odbył się pierwszy wieczór autorski w ramach cyklu pt. „Żywa Książka”, projektowanego przez krakowski oddział Związku Zawodowego Literatów. W wieczorze

uczestniczyli: Julian Przyboś (wiersze ze zbioru pt.: „Miejsce na Ziemi”) i Kazimierz Brandys (fragment powieści pt. „Drewniany koń”). Słowo wstępne wygłosili: Kazimierz Wyka i Tadeusz Breza.

W Poznaniu. Wkrótce ukaże się miesięcznik społeczno-literacki pt. „Zachód”, poświęcony w szeroki mierze zagadnieniom naszych Ziemi Zachodnich. Redakcję obejmie Jarosław Iwaszkiewicz.

Wojciech Bąk uznany za zmarłego wskutek fałszywych pogłosek, wystąpił na Czwartku Literackim Związku Zawodowego Literatów, który niedawno uczcił jego pamięć wieczorem autorskim, poświęconym twórczości „zmarłego” poety. Bąk został wywieziony w czasie powstania warszawskiego na roboty do Chociebuzza, gdzie osobodrzyły go oddziały Armii Czerwonej.

W Gdańsku odnaleziono większą część wywiezionego przez Niemców z Warszawy Archiwum Wojskowego i resztę Centralnej Biblioteki Wojskowej. Pięć baraków obok toru kolejowego mieściło wielką ilość materiału archiwalnego. Prace nad zabezpieczeniem zbiorów i nad dalszymi poszukiwaniami odbywają się pod kierownictwem Wojskowego Instytutu Naukowo-Wydawniczego.

W Lublinie powstał Klub Literacki, w którego zadaniach leży kontynuacja tradycji kulturalnych Lublina, uwydatnienie regionalnego i społecznego charakteru lubelszczyzny, jako źródła nowych wartości artystycznych, oraz krzewienie kultury i twórczości literackiej wśród najszerszych rzesz ludności. W skład zarządu Klubu wchodzi: prof. J. Kleiner, F. Araszkievicz, M. Bechcycze-Rudnicka, J. N. Kłossowski i Z. Mikulski.

## Zjawiska niedostrzeżone

Dozu zacofania spotyka się w rozumieniu i ocenie współczesnej roli i pracy nauczyciela a w szczególności nauczyciela szkół powszechnych.

Dowód takiego zacofania dał autor artykułu „Bogactwo” w Nr 20 „Odrodzenia”. W dowcipnym artykule, może i słusznie piętnującym różne niedociągnięcia w organizowaniu nowej rzeczywistości gospodarczej, nie obyło się i bez „nauczyciela wiejskiego”.

Sam termin co prawda przykro przypomina słowa padające z wysokiej trybuny c. k. sejmiku galicyjskiego z ust Popiela, Potockiego, Dzieduszyckiego i wielu innych o „nauczycielach wiejskich”. Wtedy już odbywała się walka o stanowisko społeczne nauczyciela i wtedy reakcja za wszelką cenę pragnęła go uczynić trochę przykoślnym niby organistą, trochę bakałarzem uczącym dukięcia na elementarzu.

Mimo to już wtedy, ludzie reprezentujący polską myśl postępową pragnęli ruszyć naprzód sprawę oświaty i całą siłą swojej wymowy walczyli o wyższy poziom wykształcenia i rozumienia zagadnień społecznych przez nauczyciela.

Od tego okresu upłynęło wiele czasu przedwojennego, wojny światowej i powojennego, zmieniło się wiele spraw, w życiu zaś nauczycielskim zmieniło się najwięcej. Rekrutujący się głównie z warstw proletariackich i chłopskich zdobywał sobie nauczyciel poprzez swój Związek dostęp do uniwersytetów, instytutów, wyższych kursów; zorganizował sobie cały system samokształcenia a przede wszystkim wyrabiał się w pracy społecznej i oświatowej, w środowiskach robotniczych i wiejskich, które żądały dla siebie otwarcia bram kultury, które wreszcie kulturę tę same zaczęły tworzyć.

Ale tego wszystkiego nie widział, nie widzi a może już i nie będzie mógł zobaczyć autor artykułu.

Nauczyciel, walczący przed wojną z reakcją, organizujący spółdzielnie, teatry ludowe, chóry, uniwersytety chłopskie, a więc człowiek wyrosły z chłopca, z robotnika lub w środowisku wiejskiej wrośnięty i rozumiejący dążenia tego środowiska, pragnący te dążenia realizować, to, jak wynika z zestawienia autora artykułu, umysłowość stojąca na poziomie sklepiarza, którego horyzontem lada osobisty zysk i kłopoty związane z dostawcą i odbiorcą towaru. (Nie twierdzą, że nie ma i sklepiarzy o szerszym horyzontach myślenia — to jest zagadnienie inne).

Jeśli autor pragnął zapełnić lukę, jaka w jego umysłowości istnieje w zakresie rozumienia, co się stało w dziedzinie nauczycielskiej pracy społeczno-oświatowej od czasu istnienia szkółki parafialnej do czasu szkoły powszechnej, musiałyby (co się już nie da zrobić) brać udział w wielu ogniskach wiejskich „Wici”, w których pracowali nauczyciele mimo groźby wydalenia ze służby, musiałyby zobaczyć kursy dla analfabetów, które bezinteresownie prowadzili nauczyciele, i wiele, wiele spółdzielni chłopskich, których nauczyciele byli jednym z współtwórców.

A teraz (co się już da zrobić) musiałyby przejść się po zniszczonych wojną terenach i zobaczyć nauczyciela organizującego szkoły dosłownie z niczego, gdzie brak sprzętów, pomocy naukowych i podręczników. A gdzie nie ma dojazdu (Żywieckie, Jasielskie, Białskie), tam nauczyciel powędrował pieszo, z ofiarnością bezinteresowną rzucił się do pracy. Wystarczył przejść spacerkiem choćby do Bielan i porozmawiać sobie z tym „nauczycielem wiejskim”, a przypuszczam, że wiele by się autor od niego ciekawych rzeczy dowiedział.

W rozumieniu roli nauczyciela posłaliśmy już dawno poza „Przebieczkę”. Realni, prawdziwi Smugonie to pracownicy, którzy realizują samodzielnie dążenia kulturalne tzw. do niedawna „dołów”, nie są zaś biernymi wykonawcami woli idealistów „od góry”.

Domagam się tedy od ludzi pióra, aby pisząc nawet najdowcipniejszy artykuł, przemysłili wszystkie jego elementy, w imię odpowiedzialności za słowo pisali o tym jedynie, co dokładnie poznali.

Tadeusz Bursa